NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 27 czerwca 1908. Nr. 26.

Echa pochodu jubileuszowego.

(Treść na str. 2)



Treść numeru: Nowy rektor Wszechnicy Jagiellońskiej. — Pogrzeb tuniskiego ministra. — Polska placówka oświatowa na obczyźnie. — Nowy król kurkowy we Lwowie. — »Święto kwiatów«. — Rozruchy studenckie w Wiedniu. — Skon polityka włoskiego. — Minister robót publicznych w Krakowie. — Walki kobiet w Warszawie. — »Złota« banda przed sądem. — i t. d. i t. d.

Od Administracyi.

Z numerem dzisiejszym kończy się drugi kwartał naszego wydawnictwa, przypominamy przeto Szanownym P. T. Abonentom naszym, że

czas odnowić przedpłatę na kwartał trzeci.

W tym celu załączamy do dzisiejszego numeru przekazy dla Abonentów galicyjskich.

Przedpłatę nadsyłać najlepiej wprost do naszej **centralnej Administracyi** pod adresem

Kraków, ul. Zacisze 7.

a w Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem, do

Biur G. Ungra w Warszawie,

ul. Wierzbowa 8 lub Aleje Jerozolimskie 78.

Nowi prenumeratorowie otrzymają początek drukującej się obecnie w »Nowościach illustrowanych« oryginalnej powieści Czesława Radomskiego p. t.:

„Tajemnice wielkiego świata“.

Echa pochodu jubileuszowego.

(Do illustracyi tytułowej).

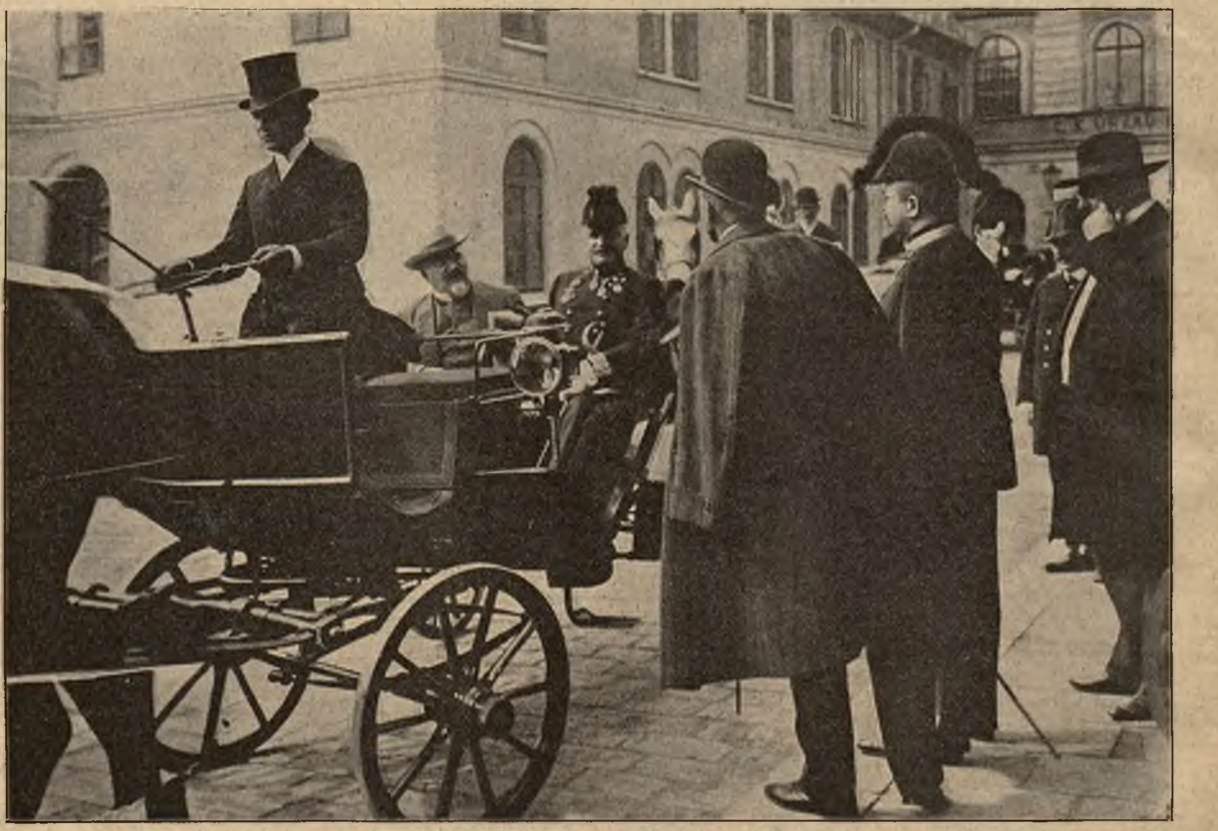
Wspaniały pochód jubileuszowy, urządzony w piątek 12 bm., dotychczas jest przedmiotem ożywionych dyskusyi w prasie, a wszyscy zgodnie przyznają, że współudział grupy z zachodniej Galicyi, w szczególności banderyi Krakusów i wesela krakowskiego, był w tym pochodzie punktem kulminacyjnym.

Widzowie, tłumnie zebrani w ulicach Wiednia, podziwiali przedewszystkiem dzielną, dziarską, butną i pełną fantazyi postawę naszych Krakusów. Sporo nawet było osób wśród Wiedeńczyków, które święcie były przekonane, iż Krakusi ci to nie lud ze wsi, ale poprzebierani w krakowskie stroje ułani.

Ale bo istotnie były w pochodzie naszej grupy momenty wprost wspaniałe, momenty, które musiały wywołać wśród tłumów wielkomiejskiej publiczności entuzyazm i podziw i zjednać sympatyę naszym Krakusom.

Do momentów tych w pierwszej linii zaliczyć należy scenę przed pawilonem cesarskim, gdy banderya kilkuset Krakusów, podniósłszy czapki w lot, przegalopowała przed oczyma cesarza w ordynku, wznosząc przytem donośne wiwaty. Sprawność i karność tej „polskiej jazdy“ wywołała też niekłamany zachwyt wśród widzów, a także cesarz zainteresował się szczerze grupą krakowską i nie szczędził słów uznania i pochwały dla jej piękności.

Scenę defilady krakowskiej banderyi przed pawilonem cesarskim przedstawia dzisiejsza rycina tytułowa.



Minister robót publicznych w Krakowie: Minister dr. Gessmann i delegat Fedorowicz (w mundurze) w powozie przed dworcem.

Podobała się także grupa polska w części historycznej, mianowicie odnosząca się do odsieczy Wiednia w 1683 r. Artysta-malarz Wojciech Kossak, zorganizował w ciągu kilku dni oddział husarzy i wraz z nimi, sam przybrany za króla Sobieskiego, wysunął się na czoło pochodu wspaniałą, marsową postacią i bogatą zbroją, pod względem historycznym nadzwyczajnie wierną. A zauważyć tu też należy, że dzięki stanowczości p. Kossaka, postać króla Sobieskiego nie została pomieszczoną w tyle grupy, ale była na pierwszym planie, tuż obok cesarza Leopolda.

Minister robót publicznych w Krakowie.

Grono miłych gości zawitało przed paru dniami do Krakowa. Na zaproszenie centralnego związku przemysłu fabrycznego, przybył mianowicie minister robót publicznych dr. Gessmann, a z nim kilkunastu urzędników ministeryalnych, aby uczestniczyć w obradach dorocznych związku i oglądnąć postępy, jakie Galicya na polu przemysłowem i ekonomicznem w ostatnich latach poczyniła.

Centralnemu związkowi przemysłu fabrycznego należy się szczera wdzięczność za doprowadzenie



Minister robót publicznych w Krakowie: Zebranie w gmachu biblioteki Jagiellońskiej: 1. Minister dr. Gessmann. 2. Szef sekcyi dr. Fries. 3. Szef sekcyi Schonka. 4. Radca sekcyjny dr. Karmiński. 5. Prezydent miasta dr. Leo. 6. Radca dworu Fedorowicz. 7. Prezydent Izby handlowej Dattner. 8. Poseł dr. Battaglia, dyrektor »Związku przem.«. 9. Nadradca minist. Herbst. 10. Dyrektor policyi dr. Flattau. 11. Szef sekcyi w minist. Brosche. 12. I. wiceprezydent miasta dr. Szarski. 13. Wiceprezydent Izby handlowej poseł Federowicz. 14. Radca miejski Judkiewicz. 15. Kierownik krak. Ekspozytury Związku dr. Merz. 16. Radca miejski Jawornicki. 17. Radca sekcyjny w minist. Sochor. 18. Szef biura krakowskiej Izby handlowej dr. Benis. 19. Radca Czerwiński. 20. Radca Izby handlowej Mendelsburg. 21. Centralny inspektor kolei północnej Horst. 22. Radca dworu w minist. Bardas. 23. Radca dr. Mączeński. 26. Wicesekretarz »Związku« dr. Łachociński

do skutku tej wycieczki gości wiedeńskich, reprezentantowi zaś centralnego rządu uznanie, że nie szczędził ni sił, ni czasu, by na miejscu zbadać stosunki i sprawy, do zakresu jego władzy należące. Coraz częstsze wizyty ministrów w kraju naszym powinny wzbudzić w społeczeństwie nadzieję, że panująca dotychczas w Wiednia obojętność dla Galicyi ustąpi w niedalekiej przyszłości miejsca przeświadczeniu, że czas najwyższy, by ten kraj, przez szereg lat zaniedbywany i pogardzany, osławiony jako bierny, stał się czynnym, by zajął należne mu wśród krajów monarchii stanowisko.

Chwila, w której goście wiedeńscy w mury Krakowa zawitali, jest bardzo ważna i poważna. Zachodnia Galicya bowiem stoi obecnie w przededniu całego szeregu pilnych, a dla przyszłości całego kraju doniosłych przedsiębiorstw. Budowa dróg wodnych, rozwijający się szybko i intenzywnie przemysł fabryczny, dzielnie z nim rywalizujące rękodzieła, górnictwo mające wszelkie warunki rozwoju, w szczególności przemysł naftowo-górniczy, któremu grozi przesilenie, wszystko to czeka pomocnej ręki rządu centralnego, by rozwinąć się, by urość i przysporzyć krajowi sił do dalszego rozwoju, do walki z konkurencyą zagraniczną.

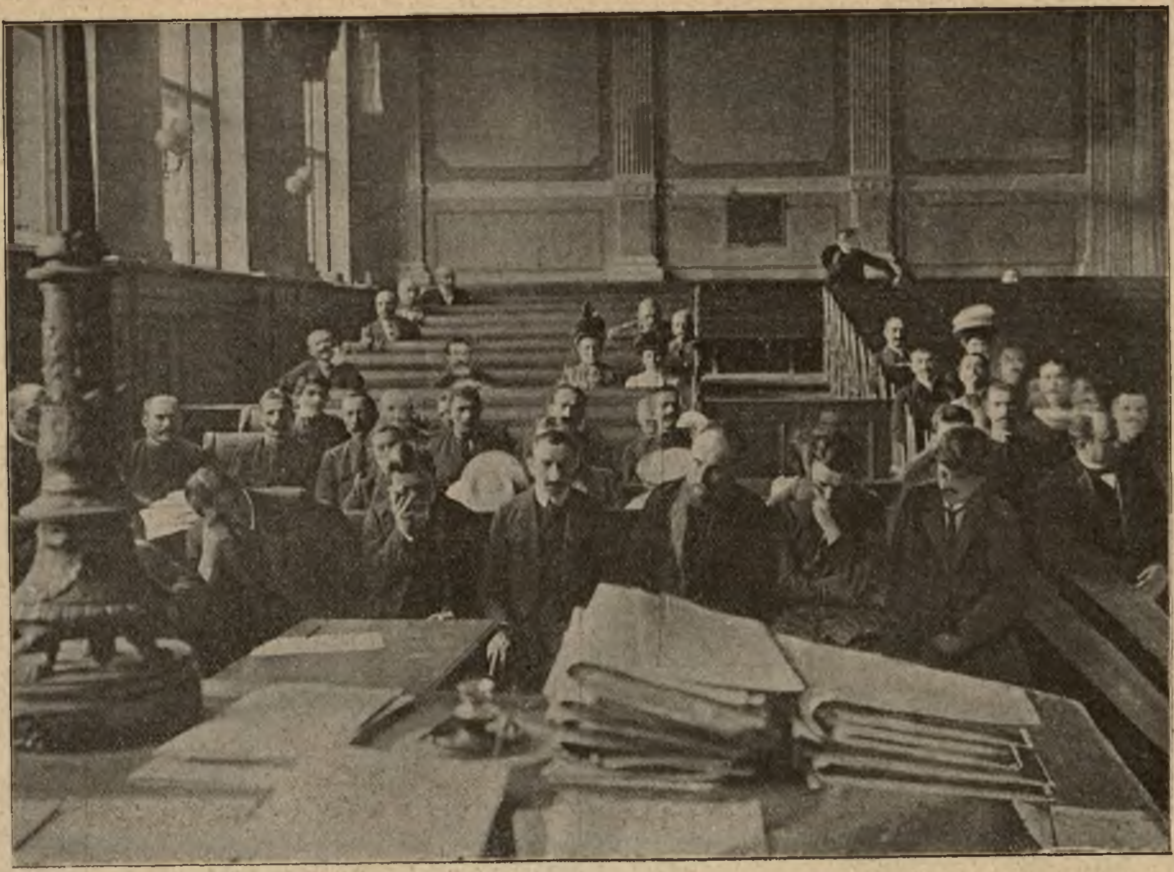
Z tego powodu spotkał się minister Gessmann i jego otoczenie z serdecznem i ciepłem powitaniem całego kraju.

Przyjechał minister dr. Gessmann do Krakowa w niedzielę popołudniu. Oczekiwali go na dworcu przedstawiciele krakowskich władz rządowych i autonomicznych. Prócz ministra przybyli: z ministerstwa handlu szefowie sekcyjni Brosche i Fries, radcy sekcyjni Sochor i Karmiński (kierownik Muzeum handlowego); z ministerstwa kolejowego szef sekcyi Schonka i radcy dworu Bardas i Kosiński; z zarządu kolei północnej, zastępca dyrektora Horst. Nadto towarzyszył drowi Gessmanowi radca Herbst z ministerstwa spraw wewn. i starszy radca budownictwa Blum.

Po powitaniach i przedstawieniu się wzajemnem, wyjechali goście w towarzystwie tutejszych dygnitarzy do miasta, celem zapoznania się z jego położeniem, wnętrzem i pamiątkami. Przejażdżka trwała dłuższy czas, poczem goście byli przez chwilę w teatrze krakowskim na „Strasznym dworze", stamtąd zaś udali się do Starego Teatru na bankiet, dany na ich cześć przez gminę m. Krakowa. W objedzie tym wzięło udział około 200 osób, prócz gości wiedeńskich wielu posłów, radców miejskich, przedstawicieli władz, przemysłu, handlu i t. d.

Przedpołudnie w poniedziałek poświęcono na zwiedzanie fabryk krakowskich i w najbliższej okolicy. Szereg powozów powiózł uczestników wycieczki na plac Groble, skąd dwoma statkami „Krakus" i „Konkurent" udano się Wisłą do Zwierzyńca, pod klasztor Norbertanek, gdzie oglądano postępy robót około regulacyi Rudawy, następnie Wisłą do Dąbia, celem oglądnięcia terenu kanalizacyi Wisły.

Po zwiedzeniu fabryk, o czem piszemy na innem miejscu, przybył minister Gessmann do Izby rękodzielniczej, gdzie wysłuchał żądań rękodziel-



»Złota« banda przed sądem: Główni oskarżeni z procesu bandy włamywaczy.



Fot. M. Münz, Lwów.

»Złota« banda przed sądem: Sala rozpraw lwowskiego sądu podczas procesu bandy włamywaczy. Na lewo obrońcy i prokurator, w środku trybunał, po prawej ława przysięgłych.



Dr. Lewin. obr. Kostury.



Przewodniczący trybunału radca Berson.



Prokurator Lubieniecki.



Dr. Hlavaty, obr. Wasińskiej.



Dr. Laub, obr. Uścieńskiej.

ników, przedstawionych przez radcę Kosobuckiego, a następnie wziął udział w śniadaniu, wydanem przez delegata Fedorowicza w starostwie. Popołudniu odbyły się w obecności ministra i urzędników ministeryalnych obrady walnego zgromadzenia członków centralnego związku galicyjskiego przemysłu fabrycznego.

Obrady toczyły się pod przewodnictwem ks. Andrzeja Lubomirskiego w sali rady miejskiej. Po zamknięciu zgromadzenia podejmował związek swych gości w salach Grand hotelu, wieczór zaś około 10 odbył się pożegnalny raut w salonach Izby handlowo-przemysłowej. Po północy odjechał minister Gessmann i towarzyszący mu urzędnicy osobnym pociągiem do Wiednia.



Walki kobiet w Warszawie: Scena z zapasów. Górą p. Mühl z Austryi, pod nią p. Vilson z Anglii.

„Złota" banda przed sądem.

Od dwóch tygodni toczy się przed lwowskim sądem przysięgłych proces przeciwko „królowi" włamywaczy, Edmundowi Śnieguckiemu *false* Wasińskiemu i jego bandzie, która grasowała po całej prawie Austryi. Na ławie oskarżonych zasiada 16 osób, między niemi cztery kobiety; całe zainteresowanie koncentruje się około „pary królewskie"j, t. j. na Edmunda i Władysławę Wasińskich.



Walki kobiet w Warszawie: Murzynka z Brazylii Morgan.

Najprzedniejsze miejsca obok „króla" zajmują bezprzecznie oskarżeni Adamski i Hüttner, zwany „Anglik" lub „Zlot", gdyż pierwszy odsiadywał już kilkakrotnie karę za kradzież, a ostatnio karany był sześcioletniem więzieniem, drugi zaś także już nieraz był w kolizyi z kodeksem karnym a w Odenburgu na Węgrzech odsiadywał nawet dwuletnią karę więzienia.

Reszta to nowicyusze na ławie oskarżonych; ocierali się wprawdzie o kryminał, ale lokatorami jego dotąd nie byli. Dla dekoracyi zasiada także na ławie oskarżonych „artysta", bo aktor ruskiego teatru Jerzy Kostur. Prokurator twierdzi, że jest on także artystą kunsztu złodziejskiego. Czy ma słuszność, okaże werdykt sędziów przysięgłych.

Przez cały pierwszy tydzień rozprawy przewodniczący radca dr. Berson zdołał zaledwie przeprowadzić przesłuchanie oskarżonych, dopiero w drugim rozpoczęto przesłuchiwanie świadków, których sam prokurator powołał aż 115.

Prokuratoryę zastępuje dr. Lubieniecki, na ławie obrońców zaś zasiada dziewięciu adwokatów.

Zainteresowanie rozprawą olbrzymie, ale radca Berson poskromił zapędy ciekawskich, ograniczając dostęp do sali na małą liczbę szczęśliwych, zaopatrzonych w bilety wstępu.

W przyszłym tygodniu nastąpi jednodniowa przerwa, gdyż we wtorek toczyć się będzie rozprawa przeciwko Siczyńskiemu.

Walki kobiet w Warszawie.

Po walkach atletów, które już dla publiczności warszawskiej spowszedniały, pomysłowi przedsiębiorcy zorganizowali w teatrze podmiejskim „Promenada", walki kobiet-atletek. Pomysł ten, zresztą za granicą nie nowy, w Warszawie zyskał odrazu prawo obywatelstwa, a teatr i park, gdzie odbywają się walki, jest codziennie przepełniony, a wśród publiczności widać przedstawicieli karna wałującej obecnie w Warszawie „śmietanki towarzystwa", w pobliżu wejścia zaś eleganckie pojazdy i samochody.

Co do przebiegu i wyniku walk niema złudzeń, że dzieje się to według z góry ułożonego planu, niemniej jednak walki atletek do wysokiego stopnia entuzyazmują tłum, który sympatye swoje dla występujących okazuje nieraz w sposób bardzo gorący i namiętny.



Walki kobiet w Warszawie: Ulubienica publiczności p. Kochańska z Galicyi.

We walkach biorą udział pp. Jacstadt (Niemka), Jensen (Dunka), Kochańska (Polka z Galicyi), ulubienica publiczności, Borkans (Holenderka), Margan (murzynka Brazylijka), Wilson (Angielka) i Mühl (Austrya).

Kobiety-atletki są niemniej zawzięte od atletów, często więc walka kończy się wywróceniem stolika „jury", oraz rozrzuceniem po scenie sędziów ku zadowoleniu rozbawionego tłumu. Walki odbywają się pod kierunkiem Władysława Pytlasińskiego i prof. atletyki Dickmana.



Walki kobiet w Warszawie: Scena z zapasów. Górą p. Kochańska, pod nią p. Borkans z Holandyi.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

2 (Ciąg dalszy).

Czy mogła przyznać się, że kocha młodzieńca nieznanego całej swej rodzinie?... Czy zdołałaby obronić się sama jedna, gdyby gwałtem przymusić ją chciano?... Czy ma prawo stawić opór woli ojca, któremu dotąd ulegała zawsze?... Zapytania powyższe mięszały się w jej mózgu, wytwarzając w nim jakieś chwilowe odrętwienie.

— Pozostawiam ci dzień jutrzejszy do namysłu — rzekł hrabia gniewnym głosem.

— Dobrze, papo — szepnęła z poddaniem się udanem — namyślę się w ciągu dnia jutrzejszego.

Stała nieruchoma, pozornie zimna i obojętna, podobna do posągu z marmuru. Wielohradzki, zły i nachmurzony, wyszedł z pokoju. Tuż zaraz za drzwiami spotkał się z synem.

— Ta mała — mówił wściekły — ta mała ośmiela się.

— Słyszałem, kochany papo, całą rozmowę. Czy teraz podzielasz moją obawę?

Zeszli do parku i aleją lipową, okrążającą go dokoła, dotarli do ławki kamiennej pod murem nad Wisłą.

— Więc to tu — pytał stary Wielohradzki syna, starając się zapanować nad gniewnem drżeniem głosu — więc to tu widują się codziennie?

— Tak, tu. Stań ojcze na ławce i wychyl się nieco, a zobaczysz cegły i kamienie, po których intruz włazi na mur, aby swobodnie rozmawiać z Zosią.

— Nie znasz go?

— Nie znam... lecz sądzę, że to musi być zuch energiczny i dumny. Słowem, przeciwnik niebezpieczny.

— Mówiłeś mi, że przyjdzie tu jutro?

— Tak, jutro.

— Jutro... jutro — szeptał stary, pogrążony w groźnej jakiejś zadumie. Jeśli Zosia odmówi, jeśli się nie zgodzi... no! to jutro zuchwalca, ośmielającego się bez pozwolenia wdzierać się tutaj, m[illegible]gę... Lecz nie myślmy o tem jeszcze... Wszystko w swoim czasie...

Zwrócił się twarzą do Karola i rzekł dosyć głośno:

— Chodź! pojedziemy do miasta. Muszę dziś jeszcze widzieć się z baronem... Wprzódy jednak wydam dyspozycyę Pogonowskiej, żeby na to, co się tu dziać może, zwracała baczną uwagę...

Pogonowska, stara klucznica, zarządzająca gospodarstwem domowem w Sielance, trzydzieści lat wiernie służyła hrabiemu i posiadała całe jego zaufanie. Ten jednak tym razem, zastanowiwszy się głębiej nad położeniem, pomimo ufności, jaką w niej pokładał, nie powiedział jej prawdy, rozumiał bowiem, że najlżejsza niedyskrecya może go skompromitować i wywołać dla sprawy zgubne skutki. Rzekł więc tylko z wielkim spokojem: „że panienka jest cierpiąca, że nie może ani na chwilę opuszczać swego pokoju, zatem należy ją otoczyć nieustannym nadzorem i najczulszemi staraniami, dopóki nie położy się do łóżka i nie zaśnie“.

Klucznica przyrzekła spełnić polecenie z najściślejszą dokładnością. Poczem Wielohradzki z synem odjechali do Warszawy, nie pożegnawszy się z córką i siostrą.

W czasie rozmowy Pogonowskiej z hrabią, Zofia, która przez otwarte okno słyszała wszystko, co mówili, zalawszy się łzami siadła do napisania następującego listu:

„Ukochany!

Niespodziane nieszczęście, jak grom z jasnego nieba, spadło na mnie w tej chwili. Zabroniłam ci przyjść dziś wieczorem. Otóż zmieniam postanowienie i błagam cię najgoręcej przybądź koniecznie, choćby po północy. Muszę widzieć się z tobą przed jutrem, bo tylko oboje razem możemy postanowić, w jaki sposób mam się bronić wobec okrutnych rozkazów mego ojca. Czekaj mnie w tem samem miejscu, w którem schodzimy się zawsze. Przybiegnę, gdy ustanie nadzór, jaki służba ma roztoczyć nademną.

Zygmuncie, kocham cię całą duszą i tylko twoją być pragnę.

Zofia Wielohradzka“.

III.

Ostatnie spotkanie.

Dzień upływał cicho i spokojnie.

Zofia do godziny czwartej nie wychodziła ze swego pokoju. Zapytana przez panią Pogonowską, czy zje obiad u siebie, czy na parterze, odpowiedziała, że chętnie z nią razem go spożyje, jak zwykle, w sali stołowej.

W ciągu objadu, posłaniec z biura telegraficznego, przyniósł depeszę, brzmiącą w tych słowach:

„Przyjadę jutro z baronem Korfem. Kochający ojciec Mieczysław Wielohradzki“.

Trupia bladość pokryła twarz dziewczęcia. Zapowiedź przybycia nieznanego, a już znienawidzonego konkurenta, przejęła ją nieopisaną trwogą.

— Czy co złego? — zapytała klucznica, przyglądając się z niepokojem panience, nad którą „jaśnie pan hrabia“ czuwać jej rozkazał z wielką pieczołowitością.

Zofia zapanowała szybko nad wzruszeniem.

— Nie — odrzekła — nic złego. Papa donosi, że dopiero jutro powróci. Prawdopodobnie i Karol spędzi noc dzisiejszą z ojcem w Warszawie.

W tej chwili wszedł służący:

— Posłaniec czeka na recepis — rzekł, stawiając półmisek na stole.

— Zaraz podpiszę i doręczę mu go sama.

To mówiąc, wyszła do przyległego kredensu.

Podanym przez posłańca ołówkiem nakreśliła na załączonej przy telegramie karteczce imię swoje i nazwisko, a równocześnie wsunęła mu w dłoń list, napisany z rana, oraz banknot trzyrublowy. Posłaniec zrozumiał o co chodzi, uśmiechnął się dobrodusznie, pokłonił nisko i wyszedł. Nikt nie był świadkiem powyższej sceny mimicznej, trwającej zaledwie minut parę. Pogonowska wprawdzie powstała z miejsca i zbliżyła się do drzwi kredensowych, posłaniec jednak już wtedy zniknął wpośród drzew ogrodu, a Zofia — wracając do jadalni — siadła w niej przy stole zamyślona, lecz zarazem dziwnie pogodna. Łatwe wyprowadzenie w pole „cerbera“, wydawało się jej faktem nietylko zabawnym, lecz i rokującym powodzenie wszystkiemu temu, co uczynić zamierzała.

Po objedzie zajęła się pilnie szydełkową robotą. Pracowała milcząco do chwili, w której podano herbatę. Po herbacie pożegnała się uprzejmie z niespuszczającą z niej wzroku staruszką, powiedziała jej „dobranoc“ i udała się do swego pokoju. Biła właśnie wówczas godzina dziewiąta.

W kwadrans potem wszystkie światła pogasły we dworze. W niespełna pół godziny, klucznica i cała gromadka domowników sielanieckich spała jak zabita, a tu i owdzie odzywające się przeciągłe chrapanie świadczyło wymownie, że ich sen był zasłużonym snem sprawiedliwych, o czystem sumieniu.

Zofia jedna czuwała w ciemności. O jedynastej wysunęła się po cichu z sypialni do salonu, skąd jeszcze ciszej i ostrożniej zeszła po schodach tarasu do parku i — jakby zapomniała o wszystkiem, co ją w ciągu dnia przejmowało ciężkiem udręczeniem — radośna, szczęśliwa, pobiegła nad Wisłę. Zygmunt siedział już na murze, a ujrzawszy ją przy sobie, chwycił jej obie ręce i okrywać je zaczął gorącymi pocałunkami.

— Jakaś ty dobra! — mówił wzruszony. Jak mam ci podziękować za ufność, świadczącą o twojej dla mnie miłości?!

— Ach! najdroższy... szczęściu naszemu grozi wielkie niebezpieczeństwo!

Lecz on jej przerwał:

— Zaczekaj, Zosiu! O niebezpieczeństwie, które nam grozi, pomówimy później... za chwilę. Domyślam się, co nas czeka. Wiem, że walczyć nam przyjdzie z niemałemi trudnościami, walka jednak mnie nie przeraża, gdy wiem, że mnie kochasz tak, jak ja ciebie kocham... Zapomnijmy więc obecnie o wszystkiem, co nie jest naszą miłością... Nie zdajesz sobie sprawy, jakiej doznaję radości, czując się sam na sam z tobą teraz, w tej pełnej czaru ciszy nocnej, wpośród uroczego ogrodu, dyszącego wonią traw świeżo skoszonych i kwiatów... Upajam się zapachem... i myślę uszczęśliwiony, że świt jeszcze daleki, że jasność dnia nie prędko nas rozłączy...

Nagle, posłyszeli jakby zgrzyt gdzieś otwierających się drzwi i odgłos stąpania po żwirze... Zanadto byli wzruszeni, aby zdać sobie sprawę, skąd dolatuje ich ten odgłos... Dość znacznie oddaleni od rzeki, nie mogli ku niej spieszyć, na przestrzeni bowiem, jaka ich oddzielała od muru, księżyc pogodnej nocy rozesłał szeroki szmat białego światła, na którem łatwo mogli być dostrzeżeni... Tymczasem do dworu mieli zaledwie kilka kroków. Zofia drżąca, niespokojna, nieprzytomna, szepnęła bezwiednie:

— Chodź za mną, Zygmuncie.

To mówiąc, po schodach tarasu, pociągnęła go do salonu, a gdy i tam zdawało się jej, że słyszy podążające za nimi kroki, wprowadziła kochanka do swego pokoju.

— Tu — rzekła — jesteś bezpieczny.

Zresztą, jakby pod wpływem jakiegoś zaklęcia, w jednej chwili zapanowała cisza zupełna. Zofia otworzyła okno. Nie słychać już było, ani skrzypienia żwiru, ani odgłosu zbliżających się kroków...

— Nie... nie... — szeptało dziewczę, drżącemi jeszcze ustami — płonna obawa... przywidzenie... a może ogrodnik krążył po parku... Parę dni temu mówił właśnie, że pobytowi złodzieje, włóczący się po okolicy, zakradają się do nas kiedy niekiedy, żeby kraść kwiaty lub owoce... Ale tak strasznie bałam się o ciebie!... bałam się tak strasznie!

On ukląkł przed nią. Wydała mu się w bladej poświacie miesiąca piękniejszą niż kiedykolwiek.

— O, Zosiu moja! — zawołał, tuląc spieczone żarem wewnętrznym wargi do jej miękkiej dłoni— kiedyż należeć będziesz do mnie... kiedyż istnienia nasze połączą się na zawsze... kiedyż nazwę cię moją żoną?

— Twoją żoną — powtórzyła melodyjnym, lecz przepojonym melancholią głosem — twoją żoną!... Mam należeć do innego... Ojciec chce mnie wydać za barona Korfa.

— Nie pozwolę na to! — krzyknął Zygmunt gwałtownie.

— Jutro... ten człowiek tu przyjedzie... jutro prosić będzie o moją rękę...

— Jutro!... jutro!... ależ to być nie może! — wołał podniesionym głosem.

— Co robić? — szeptała Zofia jakby w obłędzie. Okropna wiadomość i ciebie przejęła podobnem do mojego przerażeniem... W jaki sposób mam walczyć z ojcem? jak mu stawić opór?... Po dziś dzień nie miałam woli własnej... Wszakże to ty, mój drogi, powinieneś teraz mnie bronić i wskazać mi, co mam uczynić?... Kochając ciebie, nie mogę kochać, a tem bardziej poślubić kogo innego!... Uważam się za twoją żonę, niechcę zatem zostać jego żoną!... Ratuj mnie!... Rozkazuj! spełnię wszystko, co rozkażesz...

Rzuciła się w jego objęcia. Ramiona ich splotły się w wzajemnym uścisku... serca w piersiach biły głośno przyspieszonem tętnem... upalny jakiś dreszcz wstrząsał ciałami febrycznie... szał zawładnął mózgami... Usta zwarły się w długim, przeciągłym pocałunku... Miłość ich dotychczas czysta i nieskażona, wobec groźby rozłączenia na zawsze, zmieniła się w namiętność palącą i nieprzezwyciężoną.

— Boże mój!... Boże! — jęknęła Zofia w ostatnim oporze dziewiczej skromności.

Poczem, oddając mu się cała, jak ofiara spełniająca święty obowiązek, wyszeptała złamanym przez wzruszenie głosem:

— Wszakżem twoja żona... twoja żona, mój Zygmuncie ubóstwiony!

— Tak, tak... jesteś moją żoną.

— Teraz mieć będę moc i odwagę stawienia oporu okrutnym rozkazom papy!

— Bóg mi świadkiem — mówił Zygmunt, całując oczy ukochanej — że nie ośmieliłbym się nigdy żądać od ciebie tak wielkiego i bezgranicznego dowodu miłości... lecz lepiej, że się to już stało. Łańcuch nierozerwalny, święty, jak przysięga wygłoszona na stopniach ołtarza, opasał nas swemi ogniwami dozgonnie... Cokolwiek bądź stać się może, związani jesteśmy na całe życie... na całe życie!

— Tak, tak... dozgonnie... na całe życie!

Nagle gałązki i liście dzikiego wina, rozpiętego na zewnętrznej ścianie dworu, zaszeleściały w oknie złowrogo i równocześnie ukazała się w niem postać mężczyzny, trzymającego nagą szpadę w ręku. Zofia, zdjęta niezmiernem przerażeniem, krzyknęła zdławionym od strachu głosem:

— Mój brat!

W istocie, był to Karol Wielohradzki. Zesko-

czył z okna i zwracając się do Zygmunta, rzekł szyderczym, wyzywającym tonem:

— Co tu jegomość porabia?

Zofia nie pozwoliła ukochanemu odpowiedzieć, dłonią bowiem zakryła mu usta, a opasując ramionami i zasłaniając własnem ciałem, popychała go ku drzwiom, szepcząc:

— Uciekaj!... żądam tego!... Uciekaj zaraz!... Zabije cię.. jesteś bezbronny..,

Lecz Zygmunt się opierał.

— Nie opuszczę cię w takiej chwili!

Karol, nie ruszał się z miejsca, jakby czekał na znak jakiś lub rozkaz.

Zofia, pomimo miotającego nią wzruszenia i szamotania się z kochankiem, który cofnąć się nie chciał, zdołała nareszcie otworzyć drzwi, dotąd jeszcze na klucz zamknięte, lecz otworzywszy je — zdrętwiała. Za drzwiami stał ojciec, trzymający również obnażoną, pojedynkową szpadę w ręku. Za pasem skórzanym, spiętym na jego białej kamizelce klamrą stalową, tkwił rewolwer i nóż myśliwski.

IV.

Zasadzka.

Zygmunt nie zadrżał ani na chwilę.

— Błagam cię, Zofio, pozwól mi porozumieć się z tymi panami.

Poczem, zwracając się do Wielohradzkich, rzekł głosem pewnym i spokojnym:

— Przyznaję, że obecność moja w tym domu, zwłaszcza w tym pokoju, jest dla panów obrazą, lecz daję wam słowo, że znalazłem się tu niemal bezwiednie, dzięki niewytłomaczonemu zbiegowi okoliczności. Do dziś dnia noga moja nie postała w waszym dworze... To jednak, co się stało, wspólnie nas chyba zmusza do przyspieszenia biegu wypadków i nadania im normalnego charakteru. Powiem zatem, że kocham pannę Zofię i że jestem przez nią kochany, więc mam zaszczyt prosić panów o jej rękę.

Pomimo cynizmu, jakim odznaczał się hrabia, a nawet poniekąd i szczycił, męska odwaga nieznajomego i szlachetność, z jaką się wyrażał, wywarła na starym Wielohradzkim pewne wrażenie. Pojął odrazu, że ma do czynienia z człowiekiem wyższym i dobrze urodzonym, zmiękł więc nieco i stracił cechującą go zwykle czelną pewność siebie. Lecz Karol, należący do generacyi młodszej i głębiej zepsutej, zmarszczył brwi, wzniósł w górę szpadę, spuszczoną po wejściu ojca ku ziemi, i uśmiechając się szyderczo, mówił głosem przyciszonym:

— Do mnie należy obrona honoru naszej rodziny... Ponieważ go splamiłeś, więc cię zabiję.

Zofia pochwyciła go za ramię.

— Ach, mój bracie! czyż śmiałbyś zamordować człowieka, którego kocham?!

— Pozostaw mnie w spokoju, siostrzyczko luba. Podziękujesz mi kiedyś gorąco za przysługę, jaką ci dziś oddaję.

— Ależ ja go kocham! Czy ty to rozumiesz?... Karolu! ojcze drogi! ja go kocham... to mój mąż. Tylko do niego należeć mogę... nigdy nie poślubię kogo innego... nigdy, nigdy!... Zabijając go, mnie zabijacie!

W potarganej ciągłem szamotaniem się sukni, z włosami rozpuszczonemi w nieładzie, uwiesiła się na prawem ramieniu brata i krępowała jego poruszenia.

— Jakich słów mam użyć — jęczała żałośnie — żeby wzruszyć wasze serca kamienne? Ja go kocham! Nie umiem nic innego powiedzieć, jak tylko, że go kocham!

— Karolu — rzekł hrabia z udaną godnością i powagą — wstrzymaj się przez chwilę i czekaj na moje rozkazy.

— Ach, mój ojcze! — zawołała Zofia, biegnąc ku hrabiemu — dziękuję ci, dziękuję! Ulitowałeś się nareszcie nademną! Wiem, że zawiniłam, tając przed tobą prawdę, lecz ty nam przebaczysz, gdy się przekonasz, jak kochamy się bardzo... bardzo!

— Przebaczę ci może, lecz wprzódy ukarać muszę tego, który cię zbezcześcił!

Gwałtownym ruchem odepchnął córkę, pragnącą przytulić się do jego piersi. Dziewcze na wpół omdlałe padło na swe białe łóżeczko, szepcząc złamanym boleścią głosem:

— Litości!... mój ojcze! litości dla niego!... Odbierzcie mnie życie, jeśli chcecie, ale jego oszczędzajcie... On żyć musi, musi!

Zygmunt spoglądał z pogardą na obu uzbrojonych przeciwników, nie poruszając się wcale z miejsca.

Hrabia podszedł do niego.

— Panie — rzekł z wyszukaną grzecznością — przyznasz chyba, że dom nasz i nas znieważyłeś srodze.

— Przyznaję... gotów jednak jestem naprawić swój błąd zupełnem zadośćuczynieniem.

— Nie przyjmuję pańskiego zadośćuczynienia. Człowiek, który po kryjomu ośmielił się wejść w nocy do pokoju panny Wielohradzkiej, zginąć musi. Czy mnie pan rozumie?



W oknie ukazała się postać mężczyzny ze szpadą w ręku.

— Nie chcę rozumieć...

— W takim razie spór nasz tylko broń rozstrzygnąć może. Oto dwie szpady pojedynkowe. Czy umiesz pan szpadą władać?

— Kończyłem nauki we Francyi... służyłem w wojsku austryackiem...

— Tem lepiej! Zejdziemy razem do ogrodu... Bić się będziesz naprzód ze mną, a jeśli los sprzyjać mi nie zechce, syn mój dokończy dzieła. Racz mi tylko powiedzieć wprzódy: kim pan jesteś?

— Kim jestem?... Nie powiem — odparł dumnie młody człowiek. Nie powiem zaś dlatego, że w całej tej drażliwej sprawie postępujecie panowie nikczemnie. Z żadnym z was bić się nie będę, bo walczę tylko z równymi sobie, a za równych uważam nietylko dobrze urodzonych, lecz przedewszystkiem ludzi uczciwych. Takimi nie jesteście niestety!... Kto nosi wasze nazwisko, a pragnie połączyć się z takim baronem Korfem, niejest godnym swego nazwiska... Poświęcasz hrabio, jedyną córkę dla własnego interesu. Chcesz, dzięki ohydnemu aliansowi, odzyskać roztrwonioną w hulankach i rozpuście fortunę. Nie pozwolę na to!... Wahałem się dotąd, bo nie chciałem dziecka, które ubóstwiam, które droższe mi nad życie, wydzierać rodzinie. Lecz przekonałem się, że panowie w rzeczy samej nie jesteście rodziną, tylko bandą rozbójników, gorszą od naszych nożowców z przedmieścia. Pewność, że się nie mylę, usuwa dotychczasowe skrupuły moje, wywołane po części także mojem obecnem smutnem położeniem majątkowem. One także krępowały mnie poniekąd... teraz jednak już nie krępują... Oto moja żona. Porywam ją w oczach waszych. Chodź, Zosiu! chodź ze mną!

Dziewczę zerwało się z łóżka i stanęło przy nim.

— Tak, tak... pójdę z tobą, kędy zechcesz i dokąd się udasz!

Nagłym i zręcznym ruchem wyrwał Zygmunt hrabiemu z rąk szpadę.

— A teraz ośmielcie się mnie napastować! Broniąc skarbu mojego, czuję się niezwyciężonym...

Zanim zdziwieni Wielohradzcy odzyskali przytomność, już Zygmunt z Zofią zniknęli za drzwiami pałacu.

— Rewolwer, ojcze! Masz rewolwer... strzelaj! — ryknął Karol.

— Nie! — odparł hrabia. Strzał zbudzi służbę... a mógłbym nie jego, lecz Zofię trafić. Ale nie wszystko jeszcze stracone. Spuść się na dół po grubych gałęziach dzikiego wina, rosnącego pod oknem i zajdź im drogę od schodów pod tarasem... ja za nimi spieszę.

Zygmunt i Zofia weszli do salonu w chwili, gdy księżyc skrył się za chmurę. Wśród ciemności, potykając się o gęsto w nim rozstawione meble, stracili kilka minut czasu, zanim dotarli do parapetowych drzwi, wychodzących na taras; na schodach zaś, czekał już na nich młody Wielohradzki, zagradzając im szpadą drogę.

— Jakżebym chętnie położył go trupem — szepnął Zygmunt — gdyby nie był twoim bratem.

— Uciekajmy!... błagam cię, uciekajmy! — odpowiedziała Zofia głosem, świadczącym o zupełnem z sił wyczerpaniu.

On chciał uciekać, podtrzymując i unosząc kochankę lewem ramieniem, prawą zaś ręką, uzbrojoną w wydartą hrabiemu szpadę, odbijając zręcznie i swobodnie pchnięcia, któremi przeszyć go pragnął Karol, gdy tuż za nim stanął ojciec Zofii z rewolwerem w dłoni. Zygmunt uczuł, że Zofia mdleje. Ciało jej sztywniało i stawało się coraz cięższem. Ledwie oddychała, mrucząc niemal bezmyślnie przez zaciśnięte zęby:

— Zygmuncie!... mój ukochany... oni cię zamordują... oni cię... zamordują...

Skoczył w tył, żeby odparować pchnięcie, które Karol w pierś jego wymierzył, a równocześnie Zofia, wysunęła mu się z pod ramienia i padła na kamienną posadzkę tarasu. Karol znowu natarł gwałtownie. Zygmunt tylko się zasłonił, oszczędzając brata ukochanej. Cofał się powoli, krok za krokiem. Stary zaś Wielohradzki, podżegał syna do zaciętego boju.

— Dobrze chłopcze! — powtarzał — dobrze chłopcze!... już go masz... Nie jeszcze, ale go pokonasz wkrótce... Uwolnisz nas od nikczemnego uwodziciela, polującego na posag twojej siostry, a który śmiał nam urągać... śmiał nas tak bezcześcić...

Wtem, roześmiał się głośno, Zygmunt bowiem, cofając się, stracił równowagę na pierwszym stopniu schodów, których nie widział za sobą — zachwiał się i o mało wznak się nie przewrócił. Równocześnie ostrze Karolowej szpady rozdarło skórę na jego czole, a krew, z rany spływająca, zalała mu oczy.. Oślepiony nią, odskoczył w tył daleko, aż na trawnik, ścielący się z jednego i drugiego boku pod balustradą, obramiającą schody ze stron obu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowy rektor Wszechnicy Jagiellońskiej.

Senat Wszechnicy Jagiellońskiej, zebrany na nadzwyczajnem posiedzeniu w końcu ubiegłego tygodnia, powołał jednogłośnie na godność rektora



Nowy rektor Wszechnicy Jagiellońskiej: Prof. dr. Ksawery Fierich.

dr. Franciszka Ksawerego Fiericha, profesora prawa cywilnego.

Wybór ten spotkał się z radosnem uznaniem nie tylko całego ciała profesorskiego, wśród którego nowy rektor cieszy się niezwykłem poważaniem, ale i młodzieży studyującej wszystkich odłamów. Bo młodzież ta prof. Fiericha otacza czcią i przywiązaniem za jego wiedzę i pełne życzliwej serdeczności odnoszenie się do potrzeb i dążeń młodego pokolenia oraz ich odczuwanie.

W obecnych czasach, gdy spokój, jakiego żąda dla siebie nauka, został zakłócony odgłosami waśni politycznych, gdy echa nieporozumień i walk rozlegają się i w murach uniwersyteckich, gdy młodzież cała dzieli się na wrogie, wojowniczo względem siebie usposobione obozy, gdy nadto powstała obawa o wolność nauki, na osobę nowego rektora zwracają się oczy całego społeczeństwa, zaniepokojonego o przyszłość i prawidłowy tok życia tej najstarszej uczelni polskiej. Wobec tegorocznego wyboru wszelkie obawy znikły, imię bowiem Fierichów związane jest z najwyższym rozwojem naszej Wszechnicy. Od pięćdziesięciu przeszło lat nazwisko to wymawiane jest z poszanowaniem przez uczącą się młodzież, od połowy bowiem ubiegłego wieku na uniwersytecie krakowskim wykładają Fierichowie. Sławę zdobytą przez ojca i starszego brata, podnosi coraz wyżej nowowybrany rektor, który od lat blisko dwudziestu zajmuje katedrę prawa.

Urodzony w r. 1860 w Krakowie, po uzyskaniu doktoratu praw na tutejszym uniwersytecie, udał się na wyższe studya do Berlina i Monachium. Po powrocie do kraju habilitował się na docenta prawa procesowego cywilnego, a w kilka lat później został mianowany zwyczajnym profesorem tego przedmiotu.

Naukowemi pracami zyskał sobie sławę i za granicą, w tym zaś roku Akademia krakowska powołała go na swego członka korespondenta i ogłosiła w swych rocznikach ostatnie jego dzieło: „O prawie wekslowem w Polsce".



Polska placówka oświatowa na obczyźnie: Budynek, zakupiony na szkołę przez T. S. L. w Przywozie nad Odrą na Morawie.



Pogrzeb tuniskiego ministra: Kapłani, otaczający trumnę ze zwłokami.

Pogrzeb tuniskiego ministra.

W każdej religii, w każdem wyznaniu, wiara w życie pośmiertne stanowi jedną z najgłówniejszych podstaw, chociaż w najrozmaitszy sposób, zależnie od poglądów na świat jej wyznawców, bywa ona okazywana. Stąd też płynie taka rozmaitość obrzędów pogrzebowych u różnych narodów, u których właśnie przez cześć dla zmarłych uwydatnia się wiara w życie przyszłe. Im narody bliżej siebie stoją pod względem kultury, tem podobniejszemi do siebie bywają zewnętrzne oznaki ich kultu. Fakt ten zauważyć możemy w podobieństwie obrzędów pogrzebowych ludów n. p. chrześcijańskich i muzułmańskich.

Przykład stanowić tu może pogrzeb zmarłego niedawno premiera ministrów w Tunisie, Mahomeda Dhellonli'ego, którego zwłoki współwyznawcy niezwykle uroczyście pogrzebali. Na jednym z głównych placów w mieście, na skromnie ozdobionych noszach drewnianych, ustawiono trumnę ze zwłokami, które pokrywała bogato złotem haftowana kapa. Na wierzchu złożono pełny ubiór ministeryalny zmarłego, wraz z orderami, jakimi zmarły był ozdobiony. Dokoła na matach plecionych w rodzaju dywanu stanęli koledzy zmarłego i męscy członkowie rodziny, na przedzie zaś starszy duchowny w czarnych szatach, na które przywdział białą tunikę, jakby komżę, okrytą na dole czarnymi haftami; otaczali go duchowni w białych burnusach i turbanach, z zawieszonymi na wierzchu szalami. Rozpoczęto modły pogrzebowe. Po skończeniu tej ceremonii, uszykował się cały pochód pogrzebowy, nosze ze zwłokami wzięli na ramiona podwładni zmarłego i orszak cały wśród żałobnego śpiewu derwiszów udał się na cmentarz, gdzie nad wykopanym grobem ponowiono jeszcze raz modły, poczem trumnę spuszczono do dołu.

Zewnętrzne oznaki czci dla nieboszczyka, w jej zasadniczej formie są prawie takie same, jak i u różnych ludów chrześcijańskich.

Polska placówka oświatowa na obczyźnie.

Morawska Ostrawa jest miejscowością dobrze polskiemu społeczeństwu znaną. Od szeregu lat wzywa T. S. L. do składek i ofiar na rzecz założonej tam polskiej szkoły ludowej i do popierania usiłowań ku podtrzymaniu tradycyi narodowych wśród licznego zastępu polskiej ludności, w mieście tem skupionej.



Polska placówka oświatowa na obczyźnie: Grupa uczniów szkoły im. Konopnickiej w Morawskiej Ostrawie.



Polska placówka oświatowa na obczyźnie: Grupa uczenic szkoły im. Konopnickiej w Morawskiej Ostrawie.

Od sześciu już lat istnieje w Ostrawie polska szkoła ludowa. Mieści się ona w pięknym budynku „Domu polskiego", a uczęszcza do niej 400 dzieci. Już ta liczba wskazuje, jak wielu Polaków żyje w tej miejscowości i jak potrzebną była szkoła polska, by ocalić młode pokolenie przed wynarodowieniem. To też nie powinno się szczędzić ofiar, by przyjść z pomocą Towarzystwu szkoły ludowej, które szkoły te z własnych utrzymuje funduszów, przy pomocy jedynie subwencyi gminy Morawskiej Ostrawy w wysokości 4000 kor. rocznie.

Placówka oświatowa, jaką jest szkoła polska imienia Maryi Konopnickiej w Morawskiej Ostrawie, spełnia dzielnie swą trudną a szczytną misyę. Z roku na rok wzrasta liczba kształcącej się tam dziatwy polskiej, coraz większe też są potrzeby i wydatki.

Zwiększą się one obecnie znowu, bo T. S. L. przystąpiło do założenia nowej szkoły polskiej na Morawie, w miejscowości Przywóz nad Odrą. I tam mieszka bardzo dużo Polaków. Szkoła polska jest więc koniecznie potrzebną. Na cel ten zakupiło T. S. L. w Przywozie budynek i w najbliższym czasie przystąpi do zorganizowania nauki dla miejscowej dziatwy polskiej.

Nowy król kurkowy we Lwowie.

Wsławiona wielkiem powodzeniem, zdobytem w Wiedniu podczas pochodu jubileuszowego, zabrała się lwowska Strzelnica, zaraz po powrocie do Lwowa, do wyboru nowego króla kurkowego, którym na podstawie orzeczenia komisyi, oceniającej celność strzałów, wybrany został znany obywatel miasta, Jan Demeter.

Rządy na Strzelnicy rozpoczął nowy król w dniu Bożego Ciała, po intronizacyi, dokonanej ze znaną wspaniałością i ceremoniałem, od szeregu lat tradycyjnie zachowywanym. Naprzód więc udała się brać strzelecka, przeważnie w kontuszach do pomieszkania nowego króla, skąd powozami udano się gremialnie na plac powystawowy, gdzie odbywał się festyn „Związku rodzicielskiego", następnie zaś na Strzelnicę. Tam rozpoczęła się przy odgłosie moździerzy wesoła zabawa, której punktem kulminacyjnym była uczta królewska, z toastami i przemowami.



Fot. M. Münz, Lwów.

Nowy król kurkowy we Lwowie: Brać strzelecka w dniu intronizacyi nowego króla. W środku król kurkowy Jan Demeter, po lewej marszałek Olszewski, po prawej marszałek Pepłowski.

„Święto kwiatów".

Bardzo piękna uroczystość, choć w skromnych urządzona rozmiarach odbyła się w ubiegłym tygodniu w szkole wydziałowej imienia św. Jana Kantego przy ulicy Smoleńskiej w Krakowie. „Świętem kwiatów" uroczystość tę nazwano. Bo między przeszło dwustu chłopaków, uczniów szkoły, rozdzielono piękne, kwitnące kwiaty w doniczkach celem ich dalszej pielęgnacyi.

Łatwo zrozumieć i ocenić doniosłe znaczenie pedagogiczne wspomnianej uroczystości. Pielęgnacya kwiatów to jedno z najpiękniejszych zajęć, jakiem młodzież może i powinna poświęcać wolne od zajęć szkolnych chwile. Nic tak nie uszlachetnia i nie kształci młodych umysłów i charakterów, jak bezpośrednie obcowanie z przyrodą. To też za wprowadzenie w życie tak sympatycznego środka pedagogicznego należy się tym, którzy się do tego przyczynili, szczere uznanie.

„Swięto kwiatów" zgromadziło na podwórzu szkoły prócz kilkuset chłopaków, grono nauczycielskie, oraz zastęp gości, wśrod tych ks. szambelana Bielenina, radcę dr. Bandrowskiego, inspektora Dobrzańskiego oraz dyrektorów i dyrektorki krakowskich szkół.

Powitał przybyłych jako gospodarz dyrektor radca Maciołowski, zwracając się w zakończeniu swej pięknej mowy do zgromadzonej dziatwy z wezwaniem, by powierzone sobie kwiatki pielęgnowała z miłością i poświęceniem. Nastąpiły dalsze przemówienia, oraz śpiewy i deklamacye, poczem rozdzielono kwiaty między młodzież. Piękny to był, rozrzewniający widok, gdy całe niemal podwórze wypełniły zastępy chłopaków starszych i młodszych, trzymających w ręku doniczki z kwiatami. Pod wrażeniem podniosłych słów swych przełożonych i wychowawców rozeszła się młodzież do domów, przyrzekając kwiaty starannie pielęgnować.

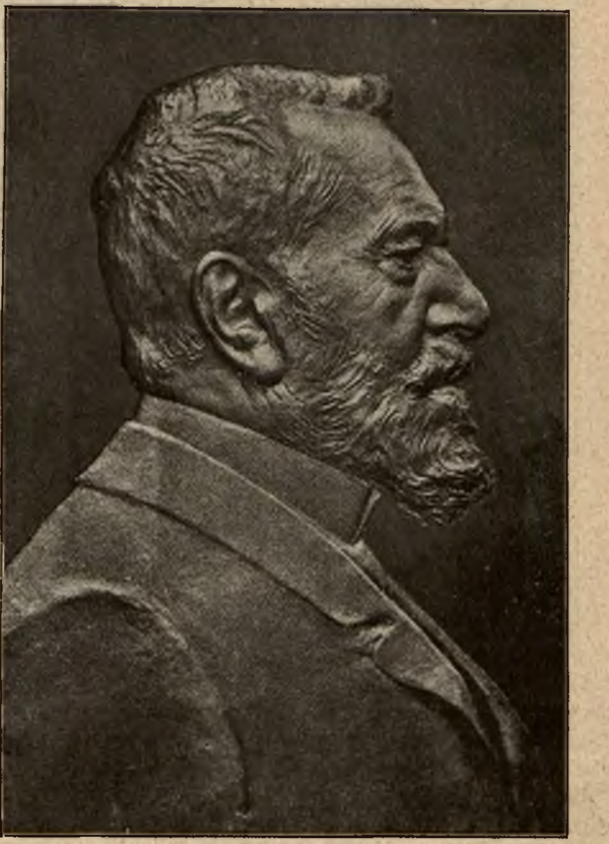


Polska placówka oświatowa na obczyźnie: Dom polski w Morawskiej Ostrawie, gdzie mieści się szkoła polska T. S L.

Rozruchy studenckie w Wiedniu.

„Rewolucya" studencka w Austryi, wywołana historyą prof. Wahrmunda, nie może się doczekać uspokojenia. Coraz to nowe następują niepokoje, coraz to nowe wybuchają zamieszki, młodzież bowiem przekonana, że wolność nauki jest zagrożoną, burzy się nieustannie i wstrzymaniem się od udziału w wykładach, chce zaprotestować przeciw rzekomemu pogwałceniu tej wolności.

Echo tych walk o „wolność" nauki odezwało się w Krakowie, gdzie garstka studentów chciała uniemożliwić spokojny tok nauki. Poważne jednak stanowisko senatu akademickiego oraz większości młodzieży uniemożliwiło gronu „borbifaksów" dopięcie zamiaru i po kilku dniach dość hałaśliwych, spokój zapanował w murach wszechnicy Jagiellońskiej.



Echa pochodu jubileuszowego: Hr. Jan Wilczek honorowy prezydent komitetu pochodowego. (Do artykułu na stronie 2).

Gorzej w Wiedniu, gdzie umysły młodzieży były bardziej wzburzone i gdzie sprawa sama zainteresowała szersze koła społeczeństwa. Przyszło więc do strejku nie tylko na uniwersytecie ale i na politechnice. Tam nawet dłużej strejk trwał, bo tuż przed ponownem podjęciem wykładów przyszło do burzliwych ekscesów, które skłoniły rektorat do dalszego odroczenia wykładów.



(Aparatem red. W. Lis.)

»Swięto kwiatów«: Uczestnicy uroczystości, zebrani w podwórzu szkoły im. św. Jana Kantego.

Powtarzały się one każdego dnia, rano i popołudniu, tak iż o nauce nawet mowy nie było. Cierpiała na tem ta część młodzieży, która trzyma się zdala od wszelkich politycznych historyj a myśli przedewszystkiem o nauce. To też ta rozważniejsza część studenckiej społeczności usiłowała wpłynąć na resztę kolegów, by zaniechali gorszących awantur a raczej pomyśleli o zbliżających się egzaminach.

Zamieszczona dziś rycina przedstawia tłum studentów, zgromadzonych przed gmachem politechniki. Jeden z poważniejszych kolegów przemawia uspakajająco i wzywa zebranych do zaniechania strejku.



Echa pochodu jubileuszowego: Król Sobieski na czele husaryi. Według kompozycyjnego rysunku malarza Wilkego. (Do artykułu na stronie 2).

Skon polityka włoskiego.

W dziejach nowoczesnych Włoch, wśród szeregu polityków i dyplomatów włoskich, którzy w ciągu ubiegłego stulecia wywalczyli swej ojczyźnie stanowisko pierwszorzędnego mocarstwa, jedno z naczelnych miejsc zajmować będzie niedawno zmarły były minister spraw zagranicznych, Giulio Prinetti. Cała jego działalność polityczna trwała zaledwie trzy lata, w tym jednak krótkim okresie czasu zaważył więcej na losach Włoch, niż niejeden z jego poprzedników lub następców, który długie lata spędził u steru państwa.

Oddany całą duszą polityce, od chwili wyboru swego do izby posłów, porzucił wszystkie inne zajęcia, by niepodzielnie poświęcić się pracy parlamentarnej, która była jedynem jego pragnieniem. Urodzony w 1848 roku, jeszcze jako poddany austryacki, z zamożniejszej rodziny medyolańskiej, od najwcześniejszych lat młodości okazywał wielki hart duszy i niezłomność charakteru. Gruntownie wykształcony poświęcił się początkowo sztuce inżynierskiej i wcześnie dał się poznać jako jeden z najwybitniejszych przemysłowców lombardzkich. Wkrótce jednak odstąpił od swych rentownych przedsiębiorstw fabrycznych, wycofał wielki milionowy majątek, a oddał się wyłącznie polityce. W trzydziestym czwartym roku wszedł do parlamentu, gdzie odrazu zajął jedno z najwybitniejszych miejsc, dając się poznać z bezwzględności swych przekonań politycznych. Początkowo ofiarowano mu podsekretaryat stanu, nie przyjął go jednak, dopiero w kilka lat później zgodził się na objęcie fotelu ministra robót publicznych. Na stanowisku tem zdziałał wiele dobrego dla kolei włoskich, wkrótce jednak naraził się całemu gabinetowi i musiał ustąpić. Nie zważając na swą godność ministra, w dobrach swych przyjmował niezwykle okazale nieprzejednanego przeciwnika rządu, arcybiskupa medyolańskiego, a następnie wniósł projekt budowy olbrzymich wodociągów w Apulji, nie pytając się wcale o zdanie swych kolegów. Musiał więc zasiąść z powrotem na ławie deputowanych, skąd coraz częściej zabierał głos w sprawach zagranicznych. W tym kierunku zdobył sobie takie poważanie, iż przy pierwszej zmianie gabinetu oddano mu portfel ministra spraw zagranicznych. Nie długo jednak piastował ten urząd, rażony bowiem atakiem apoplektycznym na posiedzeniu rady gabinetowej, już się więcej z tej choroby nie podniósł. Po pięcioletnich cierpieniach zmarł w Rzymie na zapalenie płuc.

Pogrzeb wybitnego polityka włoskiego odbył się przy udziale najwybitniejszych osobistości i dygnitarzy państwowych, oraz nieprzejrzanych tłumów publiczności, skon bowiem tego wielkiego męża stanu wywołał powszechny żal w bardzo szerokich kołach społeczeństwa.



Rozruchy studenckie w Wiedniu: Przemówienie jednego z studentów do zgromadzonych pod gmachem politechniki wiedeńskiej kolegów.

Pod grozą śmierci.

Powieść.

Przełożył z angielskiego Stanisław Krzyż.

5 Ciąg dalszy.

Okna obu sypialni wychodziły na ulicę, gdzie ruch trwał nieprzerwanie, z tej strony nie było więc żadnej obawy. Forsyth długo jeszcze siedział, rozmyślając nad tem, co właściwie zagraża księciu i w którą stronę należy wytężyć uwagę. Sybilla, mająca swą sypialnię na drugim końcu kurytarza, także nie zaraz udała się na spoczynek. Niezwykłe zdarzenia dzisiejszego wieczoru w tym zwykle tak spokojnym pałacu, wyprowadziły ją z równowagi; nie była zdenerwowaną, tylko mocno wzruszoną.

Dlaczego książe tak troskliwie pytał, czy ów intruz wyszedł za bramę? Rozmyślając o tem Sybilla przypomniała sobie, iż zapomniała o ważnym bardzo szczególe — marszałek mówił przecież, iż na dole było dwóch ludzi. Wprawdzie marszałek powiedział, iż William jednego z nich pilnował, ale William był nieco lekkomyślnym i nieuważnym, może więc być, iż ów towarzysz inspektora korzystając z jego roztargnienia, skrył się w którym z wieczystych pokoi wielkiego pałacu.

Nie mogła zasnąć, kilkakrotnie otwierała cicho drzwi, nie zauważyła jednak w kurytarzu nic podejrzanego. Postanowiła czuwać jak najdłużej i w tym celu poczęła czytać książkę.

Około godziny trzeciej rano znużona postanowiła usnąć na chwilę, przedtem jednak chciała jeszcze raz wyjrzeć na kurytarz. Położyła rękę na klamce, lecz w jednej chwili cofnęła się, jakby pod dotknięciem żmii.

Na kurytarzu był ktoś, słychać było jakiś monotonny szmer, coś jakby brzęczące pszczoły. Na palcach wróciła od drzwi, skręciła gaz i cichutko wysunęła się na kurytarz, w kierunku schodów. Oryentując się szybko doszła do wniosku, iż szmer pochodzi z miejsca, gdzie były drzwi pokoju, w którym spał książe. Dziewczyna błyskawicznie postanowiła dalej działać: obudzić bez hałasu księcia i Forsytha. Posuwając się cichutko po miękkim chodniku, który głuszył jej kroki, stanęła wreszcie przed pokojem Forsytha, oddalona zaledwie o kilka stóp od miejsca owego tajemniczego szmeru.

Zapukała do drzwi wołając Forsytha po imieniu. Szmer ustał w tej chwili, niewidzialna jakaś silna ręka pochwyciła niby kleszczami rękę Sybilli, ale w tejże samej chwili otworzyły się również i drzwi, w których stanął Forsyth. Światło, które wypłynęło z jego pokoju pełną strugą na kurytarz, oświeciło straszną scenę.

Drab jakiś, licho odziany, w kapeluszu miękkim na głowie, ściskał jedną ręką Sybillę, a w drugiej trzymał rewolwer, wymierzony ku Forsythowi.

— Złóż pan swoją broń — rozległ się nagle głos księcia, który obudzony hałasem, wyszedł również na kurytarz i skierował lufę swego rewolweru w głowę napastnika.

— A teraz — mówił dalej, gdy rozbroił przeciwnika — idź pan przedemną, odprowadzę pana za bramę. A was, moi drodzy, proszę bardzo, nie alarmujcie służby, to zbyteczne.

— Ja pójdę z tobą — rzekł Forsyth.

Sybilla korzystając z nieobecności księcia, pobiegła ku drzwiom jego pokoju i zobaczyła tkwiącą w drzwiach cieniutką piłeczkę, którą widocznie zamierzano wyciąć koło zamku otwór dla dalszych operacyj.

IX.

Taktyka jenerała.

W Grosvenor Gardens stary jenerał Sadgrove palił swoje poranne hawanna, siedząc w szlafroku i czytając poranne gazety, gdy służący zawiadomił go, iż Alec Forsyth pragnie koniecznie z nim mówić. Jenerał zrzucił szlafrok, ubrał się w surdut i pospieszył do swojego gabinetu.

— A to tobą co się dzieje? — zawołał do rannego gościa, którego twarz zasępiona, zaraz na pierwszy rzut oka go uderzyła — czy może sprzeczka z damą serca, lub świeże przejścia z Beaumanoirem?

Forsyth zaśmiał się nerwowo.

— Kochany stryj jest chyba jasnowidzącym?

— Mniejsza z tem — ścigają go, czy też może go już i pojmali?

— Prawie — odparł Forsyth i opowiedział szczegółowo wypadki nocne, wspominając zarazem o dwu poprzednich napadach. Gdy Forsyth w opowiadaniu nadmienił, iż książe ani słówkiem nie chce wyjaśnić powodów tego krwawego pościgu, tej oryginalnej „vendetty“, i absolutnie odrzuca pomoc policyi, jenerał Sadgrove puścił gwałtownie kłąb dymu, usłyszawszy zaś w dalszym ciągu, iż dzięki czujności Sybilli przyłapano jednego napastnika, którego książe kazał tylko wyprowadzić za bramę pałacu, stary żołnierz począł mruczeć coś niezrozumiale.

— A teraz, kochany stryju, szukam u ciebie pomocy. Książe zgodził się na ten mój krok i pozwolił pod warunkiem sekretu wtajemniczyć cię we wszystkie szczegóły, które uważał za stosowne mnie powierzyć. Liczy na twoją pomoc, ale naturalnie z wykluczeniem policyi. Dał mi słowo honoru, iż na razie pozostanie w pałacu, aż do mego powrotu... ale później, gdy opuści pałac, za nic nie ręczę.

Jenerał bawił się machinalnie ozdobnym talerzem indyjskim, wreszcie zwrócił się do Forsytha i rzekł:

— Ty nie jesteś całkiem ślepy i niedomyślny. Powiedz mi, co sądzisz o człowieku, któremu grozi śmierć i kto unika pomocy policyi?

— Ja sądzę, że wrogiem dzisiejszego księcia Beaumanoir jest były Karol Hanbury z Nowego Jorku. W konflikcie teraźniejszości z przeszłością leży tajemnica.

— Z całego tego biegu widzę jasno, iż szanse są bardzo nierówne, życie księcia wisi na włosku i w przeciągu 24 godzin po opuszczeniu pałacu nie doszukalibyśmy się go między żyjącymi. Czy zarządziliście jakie środki ostrożności, ażeby do pałacu znowu nie wleźli fałszywi agenci lub inne draby?

Forsyth wyjaśnił, iż książe przyrzekł nie wychodzić wcale ze swego pokoju, a służba otrzymała surowy rozkaz, ażeby absolutnie nikogo za bramę nie wpuszczała. Zresztą — dodał z pewnego rodzaju dumą — Sybilla jest z nami, a ona ma oczy otwarte.

— Dobrze! Teraz pozwolisz, że ukończę swoją toaletę i ziem śniadanie. Potem pojedziemy razem do pałacu i wyszukamy dla księcia lepsze schronisko. Zabezpieczywszy go zaczniemy atakować wroga!

Jenerał załatwił się prędko i nie żegnając się z nikim z domowników, wsiadł z Forsythem do dorożki.

— Dobrze się stało, że nasze damy jeszcze nie poubierane — rzekł jenerał. Nie lubię kłamstwa i unikam go, gdzie tylko można. Panie Sherman, które poznały na okręcie księcia, byłyby niezmiernie zaciekawione, a może i zaniepokojone, gdybym im oświadczył, że idę do jego pałacu.

Forsyth znał dobrze swego stryja, przeczuł więc, iż zrobił te uwagę nie bez pewnej przyczyny. Stary chciał go wybadać. Postanowił wiec nie ukrywać żadnego z wiadomych sobie szczegółów i rzekł:

— To jest całkiem naturalne. Beaumanoir, z którym kilka razy o nich mówiłem, zdawał się być bardzo poruszony wiadomością, iż one u stryja przebywają. Podejrzywam nawet, iż ma on pewne zamiary względem Leonii, ale nie mogę w tym kierunku powiedzieć nic stanowczego, bo nie widziałem ich nigdy w towarzystwie.

Jenerał wiedział dosyć, milczał więc o nic nie pytając. Forsyth opowiedział dalej o spotkaniu przypadkowem z księciem w hotelu Cecil, tego samego dnia, w którym tenże przybył do Anglii — i wysilając swoją pamięć, przypomniał sobie nazwisko człowieka, którego mu wówczas, jako cel swojego przyjścia do hotelu książe wymienił: Clinton Ziegler.

— Nie sądzę, żeby nazwisko to było bardzo ważnem, ale wymieniam je, bo przypomniało mi się w tej chwili — mówił Forsyth do milczącego jenerała, którego twarz, jak zawsze wyrażała zupełną obojętność. Spojrzawszy jednak na jenerała z boku, zobaczył, iż starzec wyjął z kamizelki maleńki ołówek i zapisał coś na mankiecie. Widocznie w czasie opowiadania wpadł mu do głowy jakiś ważny szczegół.

Bramę pałacu otworzył im sam marszałek, wielce zaciekawiony wydanemi zarządzeniami do dnia dzisiejszego. Tak on, jako też i reszta służby, nie wiedzieli nic o zajściach ubiegłej nocy, toż nie mało zdziwili się, gdy rano otrzymali ścisły rozkaz nie wpuszczania absolutnie nikogo do pałacu.

— Nikt dotychczas nie był — meldował, zdejmując palta z Forsytha i jenerała.

Sybilla, której świeża twarz nie zdradzała śladów tej burzliwej nocy, przywitała z uśmiechem przybyłych. Małomowny jenerał krótko ją pozdrowił i tylko dłoń jej ścisnął serdeczniej, niż zazwyczaj.

— Książe trochę grymasi, powiedziała. Oświadczył, iż nie opuści swego pokoju, dopóki nie zobaczy się z jenerałem. Jeśli więc panowie chcecie z nim mówić, musicie pofatygować się do niego samego.

— Pójdę do niego sam — rzekł jenerał. Gdzie jest jego pokój? Alec tymczasem niech w salonie przeglądnie sobie gazety.

Sybilla zaprowadziła go pod drzwi pokoju Beaumanoira, który otworzył je, usłyszawszy głos jenerała.

Jenerał zamknął drzwi na klucz i przedewszystkiem oglądnął ślady nocnej roboty złoczyńcy.

— Całe życie spędziłem na ściganiu dzikich złoczyńców, może więc być, że zapomniałem teraz wiele i wyszedłem z wprawy, ale popróbuję zgryźć ten orzech. Według tego co słyszałem, widzę, że gra warta jest stawki — przemówił.

— Trzy napady zbójeckie w przeciągu dwudziestu czterech godzin — przerwał starcowi Beaumanoir — wskazują, iż moi prześladowcy sprawy nie zasypiają. Ale na seryo, panie jenerale, sprawa to nie łatwa! Nie mogę dać panu żadnych wyjaśnień, żadnej nici przewodniej, ani odpowiedzi na pańskie ewentualne zapytania. Proszę jedynie o danie mi pomocy na tydzień, po upływie tego czasu niebezpieczeństwo prawdopodobnie minie zupełnie.

— A więc nie chcesz mi pan udzielić żadnych wskazówek?

— Absolutnie nie mogę! Honor mój jest zaangażowany.

— Dobrze, nie będę pytał o nic, a pomocy udzielę na podstawie tego, co widziałem i słyszałem. Przedewszystkiem musisz pan opuścić Londyn, musisz pojechać na wieś, tam strzedz go będą przyjaciele. Na wsi zbrodniarze nie są tak pewni siebie, każda spotkana kumoszka w danym wypadku staje się niewygodnym świadkiem. Życzyłbym sobie tedy, ażebyś książe pojechał do Prior Tarrant, dokąd zabierzesz mnie ze sobą, jako swego gościa.

Propozycya ta poruszyła księcia.

— Ależ to nie może być! Czy pan nie wie o moich przejściach niedzielnych? Powrócić tam, gdzie o mały włos byłbym postradał życie? Byłem już na wpół uduszony wskutek gazów węglowych. Myślę zrobić wycieczkę morską. Nie! za żadne skarby świata nie pojadę teraz do Prior Tarrant. Drogi mój jenerale, zastanów się dobrze! Gęste drzewa parku i niezliczone zakamarki ogromnego zamku są idealną kryjówką dla zbrodniarzy. Wasza czujność nie potrafi tam zapobiedz spełnieniu zbrodni.

— Myślałem o tem! Większa ilość osób będzie tam z nami. Zamyślam bowiem wziąć ze sobą żonę; również Alec i Sybilla Hanbury także tam pojadą, będziesz więc otoczony silną gwardyą przyboczną.

— Chyba zapominasz jenerale w twojej troskliwości o moje bezpieczeństwo — zwrócił uwagę książe — iż masz w domu gości, których nie wypada ci przecież zostawić samych.

— I o tem pamiętałem i dlatego powinieneś książe panie Sherman również zaprosić do swego zamku, jako moich gości.

Stary dyplomata poddał tę myśl jako konieczność, wypływającą ze zbiegu okoliczności.

Beaumanoir złapał się na tę wędkę.

— Nie myślałem o tem i wątpię, czy one przyjęłyby zaproszenie!

Jenerał bez wielkiego trudu usunął wątpliwości, podnoszone przez księcia.

— Termin krótki — to prawda. Ale Amerykanie nie są takimi formalistami jak my. Sprawi im to przeciwnie przyjemność. Znajomość z nimi na okręcie była wprawdzie chwilową, lecz dnie spędzone razem na morzu równoważą lata zwykłych znajomości.

— Rodzina Sherman mogłaby zapłątać się niepotrzebnie w tragiczne sytuacye — dorzucił książe.

Jenerał zaręczył, że na wszelki wypadek on osobiście uchroni matkę i córkę od każdej przykrości.

Omówiwszy w ten sposób dalszy plan operacyj, jenerał zapowiedział, iż w tej chwili pojedzie do domu, ażeby swoje panie przygotować do jutrzejszej wizyty, na którą zaproszenia od księcia

otrzymają pocztą. Idąc do salonu, gdzie zostawił Aleca, jenerał mruczał pod wąsem:

— Widzi mi się, że myśl goszczenia Leonii w zamku przodków podobała mu się. Trzeba uważać na dziewczynę, ażeby się w nim nie rozkochała, dopóki nie będzie miał rąk rozwiązanych. Alec i Sybilla, którym plan wycieczki przedłożył, z chęcią i bez namysłu przystali. Perspektywa przebycia kilku dni pod jednym dachem, niezmiernie im się podobała.

— Alec będzie moim adjutantem — mówił jenerał — a Arimoolah Khan będzie oficerem do szczególnych poruczeń.

— Arimoolah? — zawołał zdziwiony Forsyth.

Stryj Jem opowiadał mu bowiem wiele krwawych epizodów z życia tego Indyanina, który z dzikiego rozbójnika, stał się najwierniejszym sługą swego ukochanego Sahiba, jenerała Sadgrove.

Jenerał pożegnał się krótko i odprowadzony przez narzeczonych, wsiadł do czekającej dorożki.

— Nie lada to będzie wyprawa — przemówił Alec, patrząc z Sybillą za odjeżdżającym. Przebudził się w stryju dawny myśliwy!

X.

Wizyta ceremonialna.

Jenerał Sadgrove nie rozpoczynał żadnej akcyi, nie zbadawszy dokładnie terenu; to też i teraz, wracając do domu, wstąpił po drodze do New Scotland Yard i zapytał się, czy do korpusu policyjnego należy inspektor Chantrey. Naturalnie nie zdziwił się wcale, gdy oświadczono mu, iż osoba tego nazwiska jest tam zupełnie nieznaną. W domu zwierzył się przedewszystkiem przed żoną ze swoimi zamiarami co do odwiedzin gremialnych w zamku Prior Tarrant.

— Mój Jem, czytam w twoich oczach — powiedziała jenerałowa wesoło — że wracasz do swoich dawnych ulubionych czynności. Czy grozi jakie niebezpieczeństwo?

— Mnie — wcale nie, ktoś inny natomiast jest poważnie zagrożony, chodzi o uratowanie życia człowieka. Czy ten człowiek ma jakąś wartość, nie wiem, ale zależy mi na jego życiu.

— Naturalnie, pojadę z tobą — rzekła pani Sadgrove, która z rannej wizyty Forsytha łatwo się domyśliła, o czyje życie się rozchodzi. Shermanowie także z chęcią pojadą oglądnąć stary zamek i nie będą zważali, iż zaproszenie nie jest zupełnie formalne. Wtem moja głowa.

Jenerał podziękował serdecznie żonie za okazaną gotowość i prosił ją, ażeby sprawę tę zaraz z Amerykanami omówiła. Po odejściu żony zadzwonił, a za chwilę wszedł do pokoju Indyanin, w oryginalnym stroju swoich dzikich ziomków. Spojrzawszy na twarz swego pana, zawołał radośnie:

— Allah niech będzie pochwalony! Wracają nasze dawne dobre czasy!

Oblicze jenerała, przy którego boku tyle lat wiernie pracował, było dlań otwartą księgą.

— Tak jest, Arimoolah, wracają! Prowadzę wojnę z wielce przebiegłym wrogiem! Zabawimy się, jak dawniej, tam w twojej pięknej ojczyźnie. Czy ramię twoje jest jeszcze tak bardzo silne, jak ongiś?

— Niech Sahib spróbuje, proszę bardzo — odpowiedział szybko Indyanin.

— Dobrze! A teraz słuchaj, co masz robić!

Narada wojenna trwała dosyć długo, prawie do drugiego śniadania. Przy śniadaniu, do którego zasiedli gospodarze z gośćmi, zauważyła jenerałowa, iż wbrew dotychczasowemu zwyczajowi, Arimoolah Khan nie usługiwał przy stole.

Jenerał bez wielkiego wstępu przedłożył Amerykankom sprawę wycieczki do Prior Tarrant. Powiedział, iż książe Beaumanoir pragnie w swoim zamku uroczyście ogłosić zaręczyny Sybilli z Forsythem, swoim sekretarzem i najlepszym przyjacielem. Formy towarzyskie wymagają, ażeby przy tej uroczystości były obecne osoby poważniejsze, przeto Beaumanoir prosił jenerała z gośćmi, jako dekoracyę w zastępstwie starszych członków rodziny.

Senatorowa Sherman chętnie przyjęła zaproszeniny, tylko zażądała dokładnego oznaczenia terminu, gdyż z końcem tygodnia miał przybyć z kosztownym skarbem jej mąż, chciała go więc oczekiwać w Londynie. Leonia również szybko zdecydowała się, prosiła tylko o określenie czasu jazdy, pobytu i powrotu. Jenerał zaspokoił wszystkie wątpliwości.

— Terminu wprawdzie nie oznaczyliśmy, ale jego wysokość książe kilkakrotnie wspominał mi, że byłby bardzo uszczęśliwiony, gdyby mógł poznać małżonka pani. Przypuszczam nawet, iż spodziewa się, że pan Sherman wprost z Liverpoolu zajedzie do Prior Tarrant.

— Ale — przerwał nagle, zwracając się do żony — nie chciałbym być niegrzeczny wobec pani Talmage Eglinton i ponieważ wszyscy wyjeżdżamy, czy nie wypadałoby oddać jej dziś popołudniu wizyty? Jeśli nie macie panie innych zajęć, zamówię karetę na czwartą godzinę.



Z powozu wysiadł sam Alec Forsyth.

Jenerałowa nie zgłębiając przyczyn, dla których jenerał, nie lubiący ceremonialnych przyjęć i wizyt, powziął zamiar odwiedzenia tej intrygantki, której na równi z innymi unikała, zgodziła się zaraz na propozycyę. Przeczuwała, że wizyta ta leży w planie jenerała, z dawnych bowiem lat, gdy jeszcze w Indyach ścigał przeróżnych zbrodniarzy, wiedziała, iż każdy jego krok, każde jego słowo, były dokładnie obliczone — nie pytała więc o nic. Panie Sherman uległy również jego namowom.

O godzinie oznaczonej zajechała kareta i całe towarzystwo udało się do hotelu Cecil. Jenerał okazywał w drodze wielkie zniecierpliwienie i kilkakrotnie patrzył na zegarek. Przybywszy do hotelu pospieszył do loży portyera. Tutaj ku swemu zadowoleniu dowiedział się, iż pani Talmage Eglinton jest u siebie. Korzystając zaś ze sposobności, zadał portyerowi kilka pytań, podczas gdy damy powoli wchodziły na górę.

— Czy nie mieszka tu także niejaki pan Ziegler — Clinton Ziegler? A czy jest także u siebie?...

Portyer poinformował pytającego, iż pan Ziegler jest napewne u siebie, ponieważ jest chory i wogóle nigdzie nie wychodzi. Przyjmuje dużo gości, i to wyłącznie w swoim pokoju, który leży tuż obok apartamentu pani Eglinton, jednakowoż obie te osoby są sobie zupełnie obce. Przyjechali w rozmaitym czasie, a i o ile portyer zauważył— nie utrzymują ze sobą żadnych stosunków.

Jenerał pospieszył za damami i wszedł razem z niemi do wspaniałego salonu pani Talmage Eglinton. Piękna wdowa, bardzo elegancko ubrana, przyjęła gości z zachwytem i nie kryła wcale swego zdziwienia na widok jenerała, wchodzącego za damami. Pochwaliła jego grzeczność i z uśmiechem figlarnym wyraziła przypuszczenie, iż stary żołnierz pofatygował się do niej nie tyle z grzeczności, ile w innym jakimś interesie. Jenerał grzecznie zaprzeczył tym słowom, a w duchu pomyślał, że o ile mu się zdaje, będzie tu miał z nadzwyczaj sprytnym przeciwnikiem do czynienia.

W czasie banalnej rozmowy, która zawiązały damy, jenerał uczynił w salonie interesujące spostrzeżenie.

W pokoju znajdowały się jeszcze jedne drzwi, przed któremi stało ciężkie, masywne biurko, z czego można było wnosić, iż sąsiedni pokój nie jest zajęty przez panią Eglinton.

— Mam pani do powiedzenia nowinę, która powinna panią bardzo zainteresować — odezwał się jenerał. Pani zaczynasz być przedmiotem uwagi bardzo dystyngowanej osoby.

— Rzeczywiście, to mnie nadzwyczaj zaciekawia! Mój jenerale, nie dręcz mnie i zdradź tajemnicę! Czy zaproszoną zostałam na obiad do lordmajora, lub też na przejażdżkę na królewskim jachcie?

— Książe Beaumanoir zamierza poprosić panią o zaszczycenie swoją osobą jego zamku w Prior Tarrant. Mówiłem z nim dzisiaj rano, pisemne zaproszenie otrzyma pani wkrótce. I my wszyscy tam jedziemy. Książe, jako pryncypał Aleca, chce z nami wszystkimi nawiązać serdeczniejsze stosunki.

Mówiąc to jenerał starannie manewrował oczami, ażeby nie widzieć wrażenia, jakie ta bomba wywoła na jego towarzyszkach. Nie widział więc ruchu głowy pięknej Leonii i zdziwienia obu starszych dam. Cała jego uwaga skupioną była na panią Eglinton, która — jak zauważył dobrze — została wiadomością tą także zaskoczoną i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Przyszedł jej z pomocą.

— Książe ma słabość do Amerykanów—rzekł. Mówił mi, iż został pani przedstawiony przez mego kuzyna w dniu swego przybycia do Londynu, a dowiedziawszy się, iż utrzymujemy stosunki towarzyskie, chciał koniecznie panią bliżej poznać. Nie potrzebuję chyba dodawać, że Alec również będzie bardzo rad, gdy ujrzy panią w Prior Tarrant.

Jenerałowa i jej towarzyszki pokrywające obojętnemi minami swoje zdziwienie wobec niespodzianki, zgotowanej im przez jenerała, spostrzegły, iż pani Eglinton przy wzmiance o Alecu mocno się zarumieniła. Zanim jednak zdołała odpowiedzieć, czy przyjmuje te niezwykłe zaprosiny, przerwał rozmowę hałas, który zdawał się pochodzić z drugiego pokoju — z poza drzwi zastawionych biurkiem. Wrzawa, krzyki, przyspieszone kroki, mieszały się i zakłócały spokój dystyngowanego hotelu, damy zaś wszystkie zaniepokoiły się tem niezmiernie. Gospodyni zmieszana postąpiła kilka kroków w kierunku biurka, ale widocznie przypomniawszy sobie, iż drzwi są zamknięte, wyszła drzwiami od korytarza. Jenerał poszedł za nią...

Hałas coraz bardziej się wzmagał, służba zbiegła się ze wszystkich kątów, pytania, odpowiedzi i trwożne wołania rozległy się po całym hotelu Cecil.

— Co się stało? — zapytała pani Talmage jednego ze służby.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Skon wybitnego posła.

Na obcej ziemi, w sanatoryum Löwa pod Wiedniem, zakończył w ubiegły wtorek życie jeden z najwybitniejszych polskich posłów do rady państwa, b. prezydent miasta Lwowa, dr. Godzimir Małachowski.

Wiadomość bolesna o jego śmierci nie była niespodziewaną, bo już od miesiąca ciągnęła się niebezpieczna choroba żółciowa, która miała kres położyć czynnemu życiu dr. Małachowskiego. Niemniej jednak wywołała ona wielkie wrażenie i powszechny żal, reprezentacya polska bowiem w Wiedniu traci w zmarłym męża wielkiej energii, niezmożonej pracowitości i bardzo wybitnych zdolności.

Dr. Małachowski pracował w parlamencie od kilku lat dopiero. Nazwisko jego było jednak znane już znacznie dawniej. Urodzony we Lwowie 1852 r., w mieście tem ukończył studya prawnicze i rozpoczął praktykę adwokacką. Wyrobiwszy sobie renomę bardzo dzielnego prawnika, poświęcił się pracy publicznej, przedewszystkiem w radzie miejskiej. Powołany 1896 r. na godność prezydenta miasta Lwowa, obowiązki te pełnił do r. 1905.

Za jego rządów dokonane zostały największe i najważniejsze inwestycye, które stolicę kraju podniosły do rzędu prawdziwie europejskiego miasta. Jako prezydent Lwowa zasiadał też w sejmie krajowym, broniąc w nim dzielnie spraw rodzinnego miasta i mieszczaństwa, oraz spraw nauczycielstwa, którego gorącym orędownikiem był przez całe swe życie. Z tego powodu też piastował od szeregu lat godność prezesa towarzystwa pedagogicznego.

Złożywszy 1905 r. prezydenturę miasta Lwowa, otrzymał z izby handlowej i przemysłowej mandat do Rady państwa, przy powszechnych wyborach zaś 1907 r. został wybrany ponownie posłem z jednego okręgu miasta Lwowa. W Radzie państwa i w Kole polskiem odznaczył się bardzo zaszczytnie, należał do najlepszych mowców w Izbie, którego zawsze z uwagą słuchano. Pamiętną jest zwłaszcza ostatnia jego wielka, świetna mowa, wygłoszona przed paru tygodniami w debacie polsko-ruskiej. Wnet potem zaniemógł poseł Małachowski bardzo ciężko i nie dźwignął się już z łoża boleści.

Jako adwokat bardzo zdolny, posiadał klientele prawie wyłącznie z najwyższych sfer, zdobył też przy swej zapobiegliwości i pracowitości bardzo znaczny majątek. Mimo to nie zaprzestał pracy, nie usuwał się od udziału w życiu publicznem, lecz przeciwnie coraz więcej sił mu poświęcał. Było to tem więcej uznania godne, iż ze strony przeciwników politycznych spotykał się niejednokrotnie z napaściami, które najgorliwszego mogły do spraw publicznych zniechęcić. Śp. Małachowski jednak nie ugiął się i do ostatnich



Skon wybitnego posła: Śp. dr. Godzimir Małachowski.

dni życia wytrwał na stanowisku, licząc się tylko z własnem sumieniem.

Przedwczesny zgon jego odbił się żałobnem echem we Lwowie, którego potężny rozwój w ostatnich latach wiąże się ściśle z nazwiskiem dra Małachowskiego, odbił się też smutno w kołach nauczycielstwa, dla którego zmarły był zawsze jak najprzychylniej usposobiony. Jako prezes Towarzystwa pedagogicznego miał sposobność zapoznać się z potrzebami tego stanu i korzystał w sejmie z każdej sposobności, by w jego obronie podnieść swój głos.

Cześć jego pamięci!

Skazanie uwodziciela.

W Petersburgu rozegrał się niedawno sensacyjny proces, rzucający jaskrawe światło na zwyrodnienie moralne, jakie coraz bardziej poczyna się szerzyć w najrozmaitszych sferach społeczeństwa. Co dzień prawie rozchodzą się wieści o odkryciu przez policyę najrozmaitszych „lig wolnej miłości", których członkowie rekrutują się przeważnie z młodzieży szkolnej obojga płci.

Urządzano bezwstydne orgie i bachanalie, w których uczenice trzynastoletnie oddawały się najsprośniejszemu wyuzdaniu. Młodzież ta jednak znajdowała przykład, a nieraz i zachętę ze strony profesorów, jak naprzykład ze strony skazanego właśnie na sześć lat katorgi profesora języka francuskiego w zakładach naukowych męskich i żeńskich.

Francuz Du Lu był początkowo prywatnym nauczycielem w domu w. ks. Konstantego, za protekcyą którego otrzymał następnie posadę profesora języka francuskiego w korpusie paziów, najbardziej arystokratycznym zakładzie naukowym męskim w Petersburgu i w pierwszorzędnych liceach i pensyonatach żeńskich.

Dzięki swej nadobnej powierzchowności zdołał uwieść cały szereg nieletnich uczenic, a oprócz tego kupował wprost od matek, znajdujących się w nędzy, ich małoletnie córki.

Szczegóły te wykazała bardzo dobitnie przeprowadzona rozprawa sądowa, kara więc, jaka z mocy wyroku czeka niesumiennego uwodziciela, jest najzupełniej zasłużona.

Zgnilizna jednak, zaszczepiona w młode serca młodzieży szkolnej, szerzy się coraz bardziej i trzeba będzie wysiłków całego społeczeństwa rosyjskiego, by to zepsucie moralne wykorzenić. Oby surowa kara, która spotkała nauczyciela Du Lu, była tego początkiem.



Skazanie uwodziciela: Skazany na 6 letnie więzienie francuz Du Lu.



Minister robót publicznych w Krakowie: Na statku »Konkurent«. Komisya ministeryalna wraz z ministrem Gessmannem oraz zaproszonymi gośćmi.

Z TYGODNIA

(Powieść a polityka. — Wilhelm pobrzękuje pałaszem. — Intrygi pruskie. — Pruski apetyt. — Jak Chińczycy wykonują bojkot. — Wahrmundyada. — Ministrowie w Krakowie i Borysławiu).

Zabrnąłem w politykę i muszę brnąć dalej. Powieść, nawet dziesięciotomowa, ma pożądany koniec, w polityce zaś istnieje tylko nieustający ciąg dalszy. Zaledwie też przebrzmiały echa toastów, które wychylili i wygłosili w Rewlu na zjeździe król angielski Edward i car Mikołaj, gdy nagle dał na nie odpowiedź cesarz niemiecki i król pruski Wilhelm... gadatliwy. Po przeglądzie wojsk na polu ćwiczeń pod Doeberitz cesarz niemiecki do zgromadzonych przed obliczem jego oficerów wyższych powiedział głośno: „Wydaje się, jakoby nas chciano osaczyć i sprowokować. My zdołamy i to znieść! Germanin walczy najlepiej wtedy, gdy bić się musi na wszystkie strony. Niech tylko przyjdą — jesteśmy gotowi!“

Po tej przemowie, ogłoszonej przez „Dortmunder Zeitung“, posypały się oczywiście przeróżne sprostowania i zaprzeczenia, które, jak to zwykle bywa w podobnych wypadkach, udowodniły właśnie to, czemu miały zaprzeczyć. Najtrafniejszy komentarz do tej sprawy dał korespondent berliński paryskiego dziennika „Temps“, pisząc o swojej rozmowie z pewnym politykiem niemieckim, który tak się wyraził: „Mniejsza o to, czy cesarz wypowiedział owe słowa, czy nie. To nie ulega wątpliwości, że tak czuje cały naród niemiecki“. Wyśmiewany przez prasę berlińską król Edward, którego Prusacy nienawidzą serdecznie i równocześnie obawiają się, odosobnił ich gruntownie i przygotowuje powoli, atoli niemniej gruntownie wszystko, co tylko może posłużyć do przytarcia rogów krzyżactwu.

Królowi angielskiemu życzymy powodzenia w imię cywilizacyi, policzkowanej codziennie przez Prusaków. A jeżeli cesarz Wilhelm pobrzękuje pałaszem i grozi wszystkim na wszystkie strony, to mógłby zaglądnąć do historyi Prus, ażeby się przekonać, jak zmiennymi bywają losy wojny. Napoleon, który był geniuszem i wcieleniem wojny, który zwycięskie orły swoje wysyłał pod piramidy i do Moskwy, który zdeptał Prusy jak robaka — ów Napoleon umarł na wygnaniu. Bratanek jego Napoleon III., który przez długi czas trząsł Europą, znalazł się w niewoli pruskiej na zamku Wilhelmshöhe.

Fortuna kołem się toczy. Prusacy, którzy wyrośli pospolitym rozbojem i uprawiają brutalną politykę przemocy, muszą przecież wiedzieć, że w taki sposób nie można stać się pożytecznym członkiem rodziny, zwanej ludzkością. Uważani są za szkodników, których tępienie jest koniecznem. I jeżeli ma przyjść sąd nad nimi, to z pewnością wszyscy pragną gorąco, ażeby przyszedł jak najrychlej.

W dzienniku „Norddeutsche Allgemeine Zeitung“, znanym organie półurzędowym każdorazowego kanclerza niemieckiego, pojawił się artykuł, w którym Prusacy żalą się, że wszystkie intrygi idą na ich karb. „Od szeregu lat — pisze autor owego artykułu — jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że agenci prasowi uważają nas za właściwych sprawców wojny rosyjsko-japońskiej. Nic też dziwnego, że teraz ponownie odgrzano to przestarzałe kłamstwo, które możnaby łatwo zbić na podstawie dokumentów. Gdy tylko występują na pierwszy plan sprawy bliższego Wschodu, słyszymy z reguły, że rady niemieckie działają skutecznie w Konstantynopolu, ażeby w Turcyi wywołać wojownicze usposobienie. A stąd nasuwa się twierdzenie, jakoby anarchia w Persyi obciążała „konto“ niemieckie, że posyłamy instruktorów wojskowych do Afganistanu, że usiłujemy wzmocnić nasze stanowisko, podburzając świat mahometański przeciwko Europie. Mieliśmy także być gotowi do interwencyi w Królestwie Polskiem, utrzymywać tajne stosunki z Mulej Hafidem i tym podobnie — same nieprawdy, których nie można udowodnić żadnym faktem“.

Od czasu do czasu pojawia się jakiś artykuł, jakaś broszura, a nawet książka, zdradzając sympatyczne plany Prusaków i przedstawiając to, co „czuje cały naród niemiecki“. Prusacy chcą mieć od wschodu Wisłę jako granicę. Gdy się to stanie, pomyślą o nowej granicy pod postacią Niemna, a potem? Żołądek pruski jest nienasycony. Wszak równocześnie marzą Prusacy o posunięciu granic państwa niemieckiego do... Adryatyku, o zagarnięciu Holandyi, jako ziemi „pobratymczej“, o wcieleniu Danii dla zaokrąglenia całości. „Ein nettes Volk“.

Na skrzydłach fantazyi przenoszę się do Chin szybciej, niżeli iskra elektryczna. Mamy zwyczaj spoglądania na Chińczyków przez ramię, chociaż naród ten posiadał wysoką cywilizacyę w czasach, gdy Europa była mieszkaniem dziczy. Ale mniejsza o to — chodzi mi o bieżącą chwilę. Otóż Chiny „poprztykały się“ z Japonią, która na dalekim Wschodzie zaczyna odgrywać rolę... Prus. Japończycy protekcyjnie spoglądają na Chiny, zaś Chińczycy w odpowiedzi na nieprzyjazne kroki ogłosili bojkot towarów japońskich. Podobnie jak u nas ogłoszono bojkot wszystkiego, co pruskie.

Przejdźmy do sprawy wykonania bojkotu. Otóż korespondenci wielkich dzienników europejskich, przebywający w Tientsinie i Pekinie, donoszą, że bojkot japońskich wyrobów w Chinach wzmaga się wbrew przewidywaniom Japonii, która sądziła, że będzie to słomiany ogień. Pomyliła się. Chińczycy trwają w bojkocie i wyrządzają Japończykom olbrzymie szkody.

Wielkie towarzystwa żeglugi morskiej w Japonii łamią ręce rozpaczliwie. Chińscy podróżni bojkotują parowce japońskie, a to samo czynią przemysłowcy i kupcy. A że zamówienia na wyroby japońskie zmalały w Chinach ogromnie, więc także ruch okrętowy z Japonii do Chin stał się bardzo skromny. Węgle muszą Chinczycy sprowadzać z Japonii, ale już kupcy z prowincyi chińskiej Szansi, posiadającej bogate pokłady węgla, zwrócili się do komitetu bojkotowego w Kantonie, ażeby zajął się utworzeniem chińskich kopalń węgla. Nie spoglądajmy tedy przez ramię na Chińczyków, ale w sprawie bojkotu bierzmy sobie z nich przykład.

Wracam do Austryi. Strajk studentów uważać należy za ukończony. Bursze niemieccy uratowali wolność nauki. A jakże. Koniec Wahrmundyady, możliwej tylko w Austryi. O profesorze Wahrmundzie podał wiedeński dziennik „Zeit“ zajmujące szczegóły. Otóż profesor Wahrmund wykładał prawo kościelne w uniwersytecie czerniowieckim, nie wiem, czy jako docent, czy jako profesor zwyczajny lub nadzwyczajny. Ponieważ odznaczał się poglądami klerykalnemi, więc dano jako zwyczajnemu profesorowi katedrę prawa kościelnego w uniwersytecie w Insbruku. Sądzono, że profesor o poglądach klerykalnych nadaje się do klerykalnego środowiska w Insbruku. Ale profesor Wahrmund zmienił nagle swoje poglądy tak gruntownie, że stał się skrajnie postępowym. Dziwna zmiana w człowieku dojrzałym. Stawszy się „strasznie“ postępowym, prof. Wahrmund chciał się tem pochwalić wobec świata i wygłosił w Wiedniu odczyt agitacyjny, który następnie przerobił na broszurę agitacyjną. Oto zajmujący początek owej Wahrmundyady. Dziwne karyery.

Co za honor, co za cześć! Do Krakowa przyjechał minister robót publicznych, p. Gessmann, a do Borysławia minister kolei, p. Derschatta. Mieliśmy gościć w Krakowie drugiego jeszcze ministra, a mianowicie p. Fiedlera, który dzierży tekę handlu.

Niestety — dla niektórych, ale nie dla wszystkich — p. Fiedler w ostatniej chwili rozmyślił się i pozostał w Wiedniu z powodu ważnych rzekomo spraw parlamentarnych. Wiadomo, że p. Fiedler ogromnie nam jest przychylny, tak przychylny, że pragnie za wszelką cenę uniemożliwić budowę kanału z Bogumina do Krakowa, chociaż poseł niemiecki Licht, chyba nie z sympatyi dla kanałów, udowodnił już dawno w artykułach dziennikarskich konieczność tego kanału. Jeżeli pozostał sobie w Wiedniu, to my nic na tem nie stracimy.

Wogóle wizyty ministeryalne są bardzo efektowne, ale czy przyniosą nam pożytek, okaże się później. Przed kilku laty gościliśmy w Krakowie prezydenta ówczesnego gabinetu, p. Koerbera. Były przyjęcia, mowy, toasty, przyrzeczenia — ale skutków kronikarz przypomnieć sobie nie może. Nie było ich poprostu. Koerber zapytał naówczas śp. Rottera: „Co słychać?“ — a Rotter z całą otwartością odpowiedział: „Źle“. Od owej chwili w najlepszym razie nic się nie zmieniło.

Co nam przyniosą odwiedziny ministrów: Gessmanna w Krakowie i Derschatty w Borysławiu? Pochwały, przyrzeczenia, uściski rąk, toasty już nie wystarczają nawet bardzo lojalnym obywatelom. Chcemy nie pianki, ale czegoś pożywnego. Z ministrami przybyła do Galicyi falanga referentów.

Niemcy trafnie powiadają: „Minister kommen und gehen, aber Hofräte bleiben“. Rzeczywiście: ministrowie przychodzą i odchodzą, a „hofraci“ i wogóle referenci pozostają. A jak ci ludzie są dla nas usposobieni, odczuwamy to na każdym kroku. Umiał ich trzymać w ryzach śp. Dunajewski, jako minister skarbu. Czy obietnice, nawet szczere ministrów Gessmanna i Derschatty, nie utoną pośród aktów tego lub owego „hofrata“, kto może zaręczyć? Jedyna tylko jest rada, a to energiczne żądanie Koła polskiego, ażeby Galicyi dano to, co jej się należy.

Jeżeli parlament ludowy niema być farsą, w takim razie ministrowie muszą być wykonawcami jego woli.

Z okazyi odwiedzin ministeryalnych w Krakowie wtrącę małe „propos d'un Cracovien“. Podobnie jak w teatrze tak i na scenie życia są statyści, pragnący za wszelką cenę uchodzić za aktorów.

Statysta teatralny opowiada w trzeciorzędnej restauracyi naiwnym słuchaczom, że udziela rad dyrektorowi Solskiemu, statysta społeczno polityczny w handelkach przechwala się swoimi stosunkami. Statysta teatralny kłamie na umor, wiedząc, że słuchacze nie mają możności sprawdzenia jego opowiadań — statysta społeczno-polityczny stara się usilnie o pozory wielkości.

Urządza sobie sprytnie stosuneczki przez pospolite natręctwo. Pierwszy krok jest najtrudniejszy, a mianowicie zapoznanie się z jakąś „rybą“, choćby nie bardzo „grubą“. Od ryb cieńszych przechodzi do grubszych i powoli staje się intruzem, lekceważonym wprawdzie, ale tolerowanym. Drobnemi przysługami i potulnością wobec wielkich zyskuje pobłażanie. Spotyka na linii A—B jednego dygnitarza i pomaga mu w wybieraniu cygar, a ludzie, widząc statystę w gronie urzędowych wielkości, nabierają dla niego pewnego respektu i szacunku.

Gdy ministrowie zapowiedzieli swój przyjazd do Krakowa, statyści dostali gorączki. Wysilali całą swoją pomysłowość, ażeby dostać się czy to na okręt, czy na jakąś ucztę ministeryalną. Przecież dzienniki wymieniają osoby, biorące udział w podobnych występach, przecież to reklama tak rzadko zdarzająca się. Ale dużo jest powołanych, jednakże mało wybranych. Podobno statyści mieli bardzo złe żniwo z okazyi wizyty ministeryalnej u nas.

Za późno spostrzegłem, że rozpisawszy się o polityce, nie mogę już poświęcić ani odrobiny miejsca przeróżnym sprawom wyłącznie krakowskim. Odkładam je więc do przyszłej kroniki.

h. j—e.

Minister robót publicznych w Krakowie.

W czasie krótkiego pobytu w Krakowie, zwiedził minister dr. Gessmann wraz z urzędnikami ministeryalnymi oraz gronem posłów i przedstawicieli władz miejscowych, roboty toczące się około przełożenia koryta rzeki Rudawy i kanalizacyi Wisły.

Na miejsce, gdzie roboty te są prowadzone, udali się goście dwoma statkami, przybranymi zielenią i chorągiewkami. Po opuszczeniu statków pod klasztorem Norbertanek na Zwierzyńcu, oglądano bardzo szczegółowo postępy robót, przyczem wyjaśnień udzielali st. radca budownictwa Ingarden ze Lwowa i radca Regiec.

Ze Zwierzyńca ruszyli goście statkami w dół Wisły, do Dąbia, przyglądając się po drodze robotom regulacyjnym na Wiśle. Ponadto radca Czerwiński udzielał wyjaśnień co do zamierzonej kanalizacyi Wisły, poseł zaś Sikorski i st. radca Ingarden co do zabezpieczenia Krakowa przed powodzią.

Przejażdżka po falach Wisły miała przebieg bardzo sympatyczny. Pogoda dopisała w zupełności a nie było tropikalnego upału, który przez kilka dni poprzednich dokuczał w sposób niemożliwy. Wesoło więc i gwarno było na obu statkach, zwłaszcza że humory były u wszystkich jak najlepsze.

Z kolei udano się do kilku fabryk, celem ich zwiedzenia. Rozpoczęto w Grzegórzkach, od fabryki żelaza Towarzystwa akcyjnego Zieleniewski i spółka.



Minister robót publicznych w Krakowie: Szefowie sekcyi w ministeryach i posłowie przed dworcem w Krakowie.



Minister robót publicznych w Krakowie: Minister Gessmann i otoczenie w chwili wsiadania na statek pod klasztorem na Zwierzyńcu.

Fabryka ta od dawna istnieje w Krakowie, obecnie jednak została przeniesiona do nowego gmachu i bardzo znacznie rozszerzona. Główna hala mierzy 137 metrów długości, a zbudowaną jest z żelaza i szkła. Robotników zajętych jest w fabryce przeszło 600.

W chwili przybycia gości, praca wrzała w fabryce gorąca. Huk był wprost ogłuszający. Robotnicy zajęci byli nitowaniem kotłów olbrzymich, inni przygotowywaniem konstrukcyj mostowych, z których ogólną uwagę zwróciła konstrukcya mostu na Prucie. Zwiedzono także halę maszyn z motorem elektrycznym i kotłownię.

Z fabryki Zieleniewskiego udano się na Zabłocie w Podgórzu celem zwiedzenia fabryki wyrobów żelaznych, a następnie do fabryki Stowarzyszenia przemysłowego dla wyrobu towarów żelaznych i drucianych w Borku Fałęckim. Fabryka ta istnieje od lat 12. Walcownię żelaza oraz piec Martina wprowadzono dopiero w ostatnich czasach a jest to pierwsze tego rodzaju przedsiębiorstwo w Galicyi. Zatrudnia fabryka przeszło 600 robotników. Produkcya roczna dochodzi do 1000 wagonów żelaza tzw. handlowego.

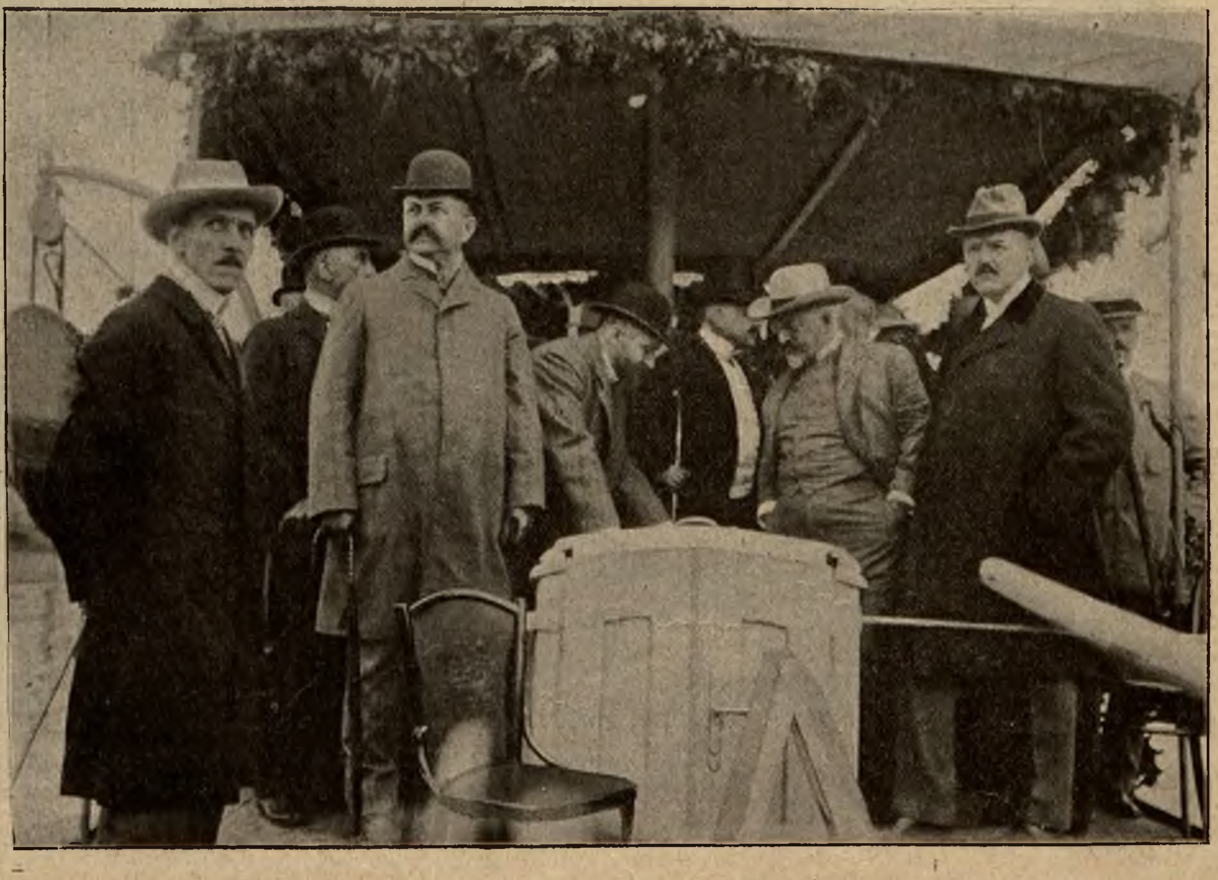
Prezesem towarzystwa tego jest radca Juliusz Epstein, wiceprezesami: Maksymilian Ehrenpreis i Henryk de Kuh, kierującym członkiem z łona rady nadzorczej jest radca Tadeusz Epstein, dyrektorem technicznym Piotr Zagórowski.

Zakład w Borku Fałęckim konkuruje pomyślnie z fabrykami zagranicznemi, które do niedawna dyktowały krajowi ceny w dziedzinie wyrobów żelaznych. Walka, jaką kartel fabryk żelaznych prowadził z fabryką w Borku, jest jeszcze pamiętną, a zwycięstwo krajowej fabryki należy do ważnych w dziejach uprzemysłowienia kraju wypadków.

Po zwiedzeniu pobliskiej fabryki sody, która również coraz potężniej konkuruje z zagranicą, powrócili goście do Krakowa.

Popołudniu odbyło się doroczne walne zgromadzenie centralnego związku galicyjskiego przemysłu fabrycznego. Zgromadzenie to zaczęło piąty rok działalności związku, który przy energii swego zarządu wysunął się na czoło tego rodzaju instytucyj w państwie.

Kiedy przed kilku laty pojawiły się pierwsze usiłowania w kierunku odrodzenia przemysłu w Galicyi, kiedy coraz głośniej rozlegało się hasło uprzemysłowienia kraju, grono ludzi, którzy pierwsi odczuli i zrozumieli doniosłość tego hasła, postanowiło założyć stowarzyszenie, celem związania przemysłowców, działających w kraju, do wspólnej



Radca Czerwiński objaśnia ministrowi Gessmannowi i szefowi sekcyjnemu Friessowi podczas podróży statkiem plany kanału Dunaj-Wisła-Odra.

pracy i udzielenia im w tym kierunku pomocy i poparcia.

Myśl rzucona przyjęła się, a po uzyskaniu zatwierdzenia statutów powołano na prezesa Związku ks. Andrzeja Lubomirskiego, właściciela cukrowni w Przeworsku, na dyrektora zaś pioniera uprzemysłowienia kraju, dr. Rogera bar. Battaglię. W ciągu kilkuletniej działalności zdołał Związek przeprowadzić cały szereg pożądanych dla rozwoju przemysłu w kraju ulg, zdołał też zachęcić sporo jednostek do poświęcenia się przemysłowi. Wzrosła potężnie liczba członków, wzrosły agendy Związku, wzrosło jego znaczenie.

Zasługą ostatnią tej instytucyi, to uproszenie ministra dr. Gessmanna, by wraz z kilku wyższymi urzędnikami z ministeryów zawitał do Galicyi i własnemi oczyma oglądnął postępy tego kraju w dziedzinie przemysłu.

* * *

Wrażenia, jakie minister dr. Gessmann i jego otoczenie wywieźli po półtoradniowym pobycie w Krakowie, są — według ich własnych słów — bardzo dodatnie. W czasie dyskusyi oraz w przemówieniach oficyalnych dał kilkakrotnie wyraz przekonaniu, że zaniedbanie Galicyi ze strony rządu było błędem i że błąd ten naprawić należy w najkrótszym czasie.

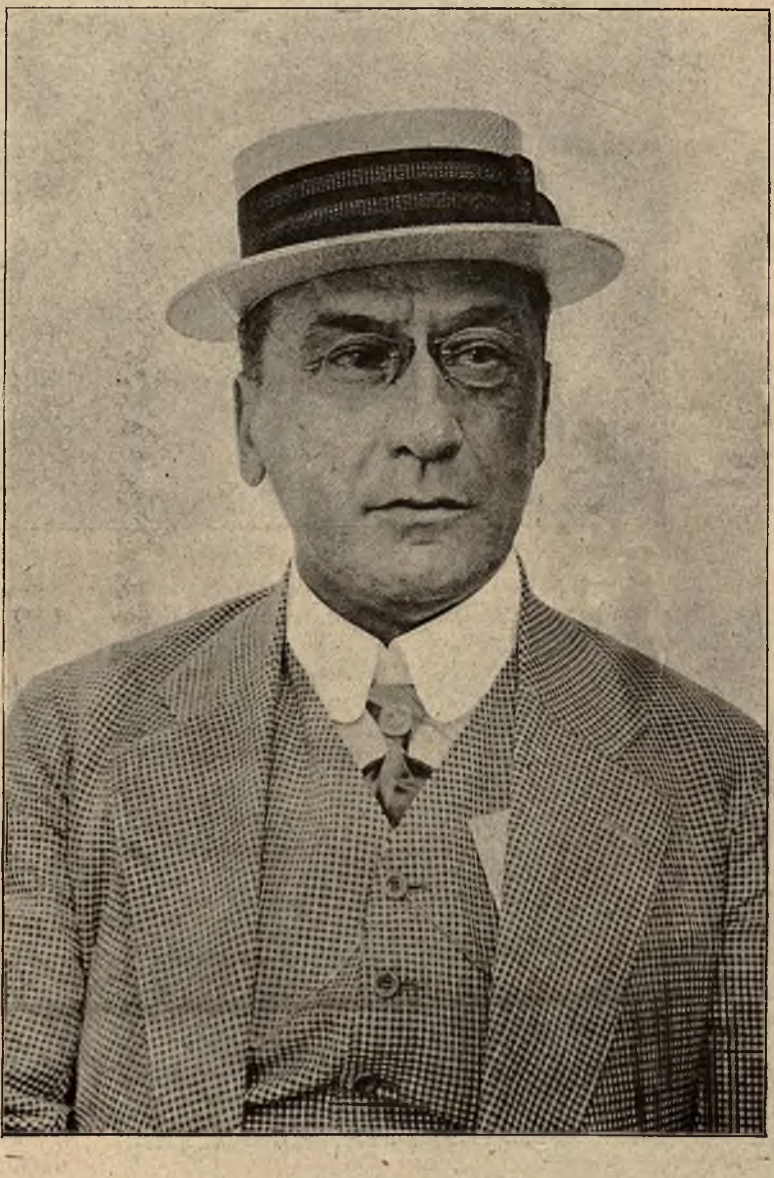
Co prawda, do obietnic czynionych przez przedstawicieli rządu, przywykło już społeczeństwo nasze, tak samo jak przywykło do ich niedotrzymywania. Wedle jednak zdania tych, którzy z ministrem dr. Gessmannem rozmawiali, przyrzeczenia tym razem wygłoszone, miały charakter nietylko oficyalny ale i wiążący. I jeśli Koło polskie będzie umiało to usposobienie rządu wykorzystać, to może ostatecznie nastąpi nowa era, której wszyscy gorąco sobie życzymy.

Najważniejsze na dziś zadanie, jakie czeka Koło polskie w parlamencie wiedeńskim, to zmuszenie centralnego rządu do wykonania tak dawno zapadłej uchwały obu izb co do rozpoczęcia budowy dróg wodnych w Galicyi. Ciągłe przewlekanie ostatecznego załatwienia tej sprawy i odraczanie jej z roku na rok, zakrawa na farsę, jest też jaskrawym dowodem lekceważenia nietylko potrzeb kraju, ale i uchwał parlamentu.

Zbyteczne byłoby rozwodzić się nad doniosłością i znaczeniem dla rozwoju ekonomicznego Galicyi dróg wodnych. Sprawa to oddawna przesądzona i dziś niema chyba nikogo, ktoby pod tym względem miał jakiekolwiek wątpliwości.

Dobrze też stało się, że minister dr. Gessmann i grono urzędników wiedeńskich przypatrzyli się robotom około kanalizacyi Wisły oraz regulacyi Rudawy, tem bardziej, że w czasie tej podróży radca Czerwiński miał sposobność zaznajomić gości bardzo szczegółowo z planami budowy kanału Dunaj-Wisła-Odra.

Roboty publiczne — a do nich sprawa budowy kanałów chyba niewątpliwie należy — to zakres działania nowego ministerstwa, którego pierwszym kierownikiem jest dr. Gessmann. Przyrzeczenia, jakie minister poczynił w Krakowie, zostaną — wierzyć należy — spełnione bodaj w części. I to byłby już pewien postęp.



Władysław Floryański.

A także cały szereg innych spraw, od których rozwój przemysłu galicyjskiego zależy, powinien się wreszcie doczekać załatwienia. Woła o nie głośno od paru lat centralny związek przemysłu fabrycznego, za pośrednictwem swych przedstawicieli w parlamencie, prezesa ks. Lubomirskiego i dyrektora dr. Battaglii. Za żądaniami temi stoi kraj cały, nad czem gorliwie pracuje nietylko centrala we Lwowie, ale i ekspozytura w Krakowie, ze swym naczelnikiem r. m. dr. Merzem.

Władysław Floryański.

Podporą tegorocznego sezonu lwowskiej opery w Krakowie jest obok znakomitego kapelmistrza Stermicza, reżyser Władysław Floryański, słynny artysta-śpiewak, tenor jeden z najwybitniejszych wśród polskich śpiewaków.

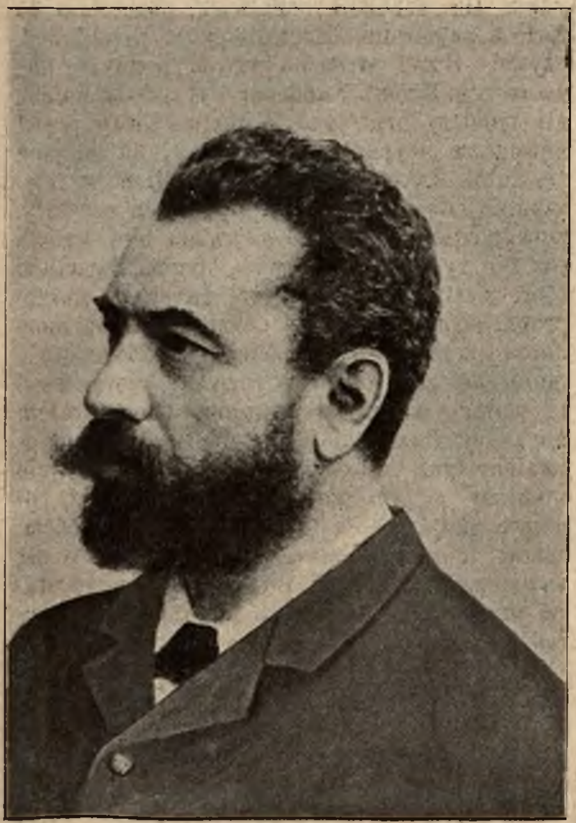
Floryańskiego zaliczać dziś należy do artystów starszej generacyi, mimo to śpiew jego zawsze wywiera potężne wrażenie a głos porywa szlachetnością brzmienia i metalicznym dźwiękiem. Nie mniej wspaniałą jest jego gra aktorska, pełna siły i wyrazu, deklamacya bez zarzutu i szczere przejęcie się oddawanemi rolami.

W ciągu kilkunastu dni pobytu opery lwowskiej w Krakowie, kreował Floryański trzy wielkie partye: Cania w „Pajacach", Eleazara w „Żydówce" i tytułową w „Opowieściach Hoffmana". Największy bezsprzecznie sukces odniósł znakomity śpiewak jako Eleazar. Stworzył postać potężną, przejmującą słuchaczów do głębi bólem swym, dyszącą pragnieniem zemsty. Głosowo wybornie usposobiony, potrafił uwydatnić wszystkie piękności melodyjnej opery Halevy'ego. Nic dziwnego więc, że partyą tą wprowadził w podziw i zachwyt publiczność, wypełniającą tłumnie widownię teatru. Bardzo pięknie wypadła też w interpretacyi Floryańskiego tragiczna postać pajaca Cania. Z pomiędzy wielu przedstawicieli tej roli, Floryański i Bandrowski wysuwają się na czoło, bo najlepiej umieją trafić w jej ton dramatyczny, bo w grze ich i głosie najwięcej przebija się żalu i rozpaczy, której nieszczęsny pajac jest pełen.

Jako reżyser zasłużył się Floryański nadzwyczajnie operze lwowskiej. Pomysłowością swą i rutyną, oraz wieloletniem doświadczeniem, zdobytem w ciągu karyery artystycznej zagranicą, potrafił wlać dużo życia w każdą operę, która pod jego kierownictwem została wystawioną, potrafił rozruszać ansamble i zainteresować niemi widzów. Zasługa to bardzo duża, za co dzielnemu śpiewakowi szczere należy się uznanie i wdzięczność.



Minister robót publicznych w Krakowie: W walcowni żelaza w Borku Fałęckim. Minister Gessmann, wiceprezydent namiestnictwa hr. Łoś, szefowie sekcyi ministerstwa, prezydent dr. Leo, burmistrz Varyewski i grono zaproszonych gości.



Skon polityka włoskiego: Giulio Prinetti.
(Do artykułu na str. 10).

Minister w fabryce na Zabłociu.

Pomimo ogólnych utyskiwań i żalów nad zaniedbaniem przemysłu w Galicyi, w ostatnich czasach musi każdy zauważyć żywszy ruch nad podniesieniem gospodarstwa społecznego kraju. Warunki polityczne, w jakich kraj nasz znajdował się przez długie dziesiątki lat, zaniedbanie i lekceważenie jego koniecznych potrzeb przez centralny rząd wiedeński, doprowadziły do tego, iż doniedawna przemysł prawie nie istniał. Wszelkie, najdrobniejsze nawet przedmioty użytku codziennego pochodziły z obcych krajów, przeważnie austryackich. Zastępcy tych krajów, potężni w rozmaitych ministeryach, dokładali starań, by rząd nietylko nie popierał, lecz nawet utrudniał rozbudzenie przemysłu w Galicyi. Wobec takiego położenia nie mało dobrych chęci, a więcej jeszcze niespożytej energii, wysiłków i kosztów wymagało założenie jakiegokolwiek, choćby najmniejszego interesu przemysłowego.

Znaleźli się jednak pionierzy polskiego przemysłu galicyjskiego, którzy zwalczyli te wszystkie zapory i własną pracą i zapobiegliwością małe warsztaty, zatrudniające niewielką liczbę robotników, nietylko utrzymali, ale nawet rozszerzyli, tak iż dzisiaj śmiało je nazwać można fabrykami w całem znaczeniu tego słowa.

Takiem przedsiębiorstwem przemysłowem, rozwiniętem obecnie na wielką już skalę, jest „Towarzystwo przemysłowe dla wyrobów żelaznych w Krakowie". Powstało ono przed jedynastu laty w 1897 roku dzięki inicyatywie trzech ludzi, którzy w dobrze zrozumianym własnym interesie za zadanie swoje wzięli podtrzymanie i żywsze rozbudzenie początków przemysłu galicyjskiego. Byli to Lazar Korngold, Izydor Rosner i Samuel Opoczyński, założyciele i wyłączni dziś właściciele fabryki. W ten sposób powstała skromna rozmiarami, mała fabryczka wyrobów żelaznych na Zabłociu koło Podgórza.

Dzisiaj jest to już wielkie przedsiębiorstwo, rozwinięte na wielką skalę, kwitnące dzieki umiejętnemu kierownictwu swych założycieli. Z pewną też dumą mogli poszczycić się niem właściciele przed przybyłym do Krakowa ministrem Gessmannem i jego towarzyszami.

Ogólną uwagę zwróciło wewnętrzne urządzenie fabryki, w którem zastosowano nietylko wszystkie najnowsze wynalazki techniki, ale zaprowadzono także wszelkiego rodzaju wentylatory i inne urządzenia hygieniczne. Robotnicy, których liczba wynosi przeszło dwustu, pracują więc w jak najlepszych dla zdrowia warunkach. Wszystkie maszyny są automatyczne, poruszane za pomocą maszyny parowej 150 H. P.

Fabryka wyrabia przeważnie okucia do okien, do drzwi, pieców, łóżek, szaf, skrzyń, rozmaite haki, zakrętki, przedmioty gwintowane z drutu. Główną jednak specyalnością fabryki jest wyrabianie blachy cynkowej i maszynek do siekania mięsa, które, można powiedzieć bez przesady, znalazły uznanie dla swej trwałości w całym świecie. Eksport bowiem odbywa się nietylko do całych Austro-Węgier, ale i do Rosyi, Rumunii i do Indyj.

O dobroci wyrobów fabryki na Zabłociu świadczą liczne odznaki honorowe i nagrody, jakie fabryka zyskała na różnych wystawach, jak naprzykład na „Wystawie metalowej w Krakowie" i „Wystawie dla handlu i przemysłu w Paryżu", gdzie jej przyznano medal i krzyż zasługi.

Fabryka rozwija się stale, posiada swe agendy we Lwowie i Wiedniu, w ostatnich zaś czasach zakupiła budynki po fabryce szpagatu Banku hipotecznego, tak iż obszar cały wynosi dziś 25 tysięcy m. □ Oświetlenie dają fabryce dwie dynamomaszyny.

Minister, który zwiedził fabrykę całą bardzo szczegółowo, wyraził p. Korngoldowi swe uznanie, zachwycając się wzorowem urządzeniem. Minister położył przytem nacisk na usiłowania właścicieli w celu zdobycia jak najszerszego rynku zbytu, który rozszerzył się już i na cały półwysep bałkański.

Z powodu zaszczytnych odwiedzin, jakie fabrykę żelaza na Zabłociu spotkały, zamieszczamy w dzisiejszym numerze rycinę, przedstawiającą widok ogólny fabryki, a prócz tego zdjęcie, dokonane podczas pobytu w fabryce ministra.



Minister w fabryce na Zabłociu: Minister Gessman wraz z prezydentem Krakowa dr. Leo, burmistrzem Podgórza Maryewskim i starostą hr. Starzeńskim zwiedza fabrykę, oprowadzany przez właściciela p. Korngolda.



Minister w fabryce na Zabłociu: Ogólny widok fabryki wyrobów żelaznych na Zabłociu w Podgórzu.

BEZ ZAWZIĘTOŚCI!

Powieść na tle opowiadań doświadczonego detektywa.

Z niemieckiego oryginału opracował Ł. R.

14 (Dokończenie).

— A co? sprowadziłeś pan? — zawołali równocześnie.
— Nie.
— Jakto?
— Nie było co sprowadzać.
— A więc morderca?
— Odkryty.
— Geriach?
— Ferdi?
— Nie.
— Któż to? gdzie jest?
— Proszę panów, abyście raczyli udać się ze mną. Chcę panom mordercę pokazać.
— Czyż go tu przyprowadzić nie można?
— Nie, bo już nie żyje.

Maran i Haller z osłupieniem spoglądali to na siebie, to na Lindnera. Oczywiście, iż pojechać musieli z urzędu, więc siedli zaraz z Lindnerem do fiakra.

Zatrzymano się przed starym domem, w jednej z ciasnych uliczek na Leopoldstadt. Lindner powiódł ich na czwarte piętro, wyjął klucz z kieszeni i otworzył drzwi małego, skromnego pokoiku.

Na podłodze leżały zwłoki młodego człowieka, mogącego liczyć około 25 lat życia. Twarz piękna, inteligentna. Ze skroni sączyła się jeszcze krew, w zaciśniętej dłoni tkwił rewolwer.

— Oto morderca Sandtnera — rzekł Lindner — a tu dowód i wyjaśnienie sprawy — dodał, biorąc ze stołu zapisany papier i wręczając go Hallerowi.

Komisarz czytał głośno:

„Popełniłem zbrodnię, wielką zbrodnię, bo zamordowałem niewinnego. Zaślepiła mnie zawziętość. Chciałem być mścicielem, a zostałem mordercą. Sam się oddaję pod sąd Boży, sam sobie karę wymierzam. Życie niema już dla mnie powabu. Zbrodni nie pomściłem, sam zostałem zbrodniarzem; niewinny padł z mej ręki, ta, którą kochałem nad życie, opuściła mnie na zawsze, życie moje złamane, więc poco je dźwigać?... Biedna Zofia! Ona mnie tak kochała! Sumienie jej wyrzucało, że mi pomogła zabić niewinnego, nie mogła znieść wyrzutów sumienia! Biedna Zofia! Wolała truciznę, niż życie; ja wolę kulę rewolwerową. Nikczemnik nie ukarany tu, na ziemi, dozna tam kary Bożej, ale niewinny padł z mojej ręki... Tym, co mnie kochali, co mi byli przyjaciółmi, co mnie uważali za człowieka uczciwego, pozostawiam to pismo, aby mi przebaczyli wszystko. Rodzice moi umarli wcześnie; zostało nas sierot dwoje. Ja miałem wtedy lat dwadzieścia, siostra moja szesnaście. Opiekowałem się nią, chciałem jej zastąpić i ojca i matkę. Pracowaliśmy oboje, starczyło na życie. Zarabiałem wiele, siostrze nie brakło niczego. Dobre to było dziewczę, skromne, uczciwe, pracowite... Strzegłem jej, jak oka w głowie. I było wszystko dobrze, dopóki nie wyjechałem z Wiednia. Wezwano mnie na Węgry; wyznaczono zapłatę dwa razy większą, niż miałem w Wiedniu. Złakomiłem się na to, aby zarobić, oszczędzić i zebrać posag dla siostry. Zostawiłem Rózię pod opieką starej ciotki i pojechałem. Przez rok pracowałem ciężko, ale też zebrałem ładny kapitalik. Siostrzyczka Rózia pisywała do mnie prawie co tydzień, ja też do niej. Z listów dowiedziałem się, że stara się o nią młody człowiek, urzędnik bankowy, że ją bardzo kocha, że ona też pokochała go bardzo. Było mi to dziwne, że urzędnik handlowy chce się ożenić z dziewczyną biedną, córką rękodzielnika, żyjącą z pracy. No, ale stara ciotka dopisywała, że go zna, że to człowiek stateczny. Rózia była prześliczna, a nauki i układności miała dość, więc tłomaczyłem sobie, że nietylko urzędnik handlowy, ale nawet i doktor praw mógłby się w takiej zakochać i pojąć za żonę. Spokojny byłem. Aliści jednego tygodnia nie było listu. No, pomyślałem, zakochana, a nie miała może czasu. Ale i drugi i trzeci tydzień minął, a żadnej wiadomości ani od Rózi, ani od ciotki. Napisałem do mej narzeczonej, Zofii Strobel, która była w obowiązku u bankiera Sandtnera i jej prosiłem, aby dowiedziała się, co z siostrą się dzieje i zaraz mi doniosła. W kilka dni otrzymałem straszne wiadomości. Zofia dowiedziała się, że ów urzędnik bankowy uwiódł moją Rózię, moją siostrzyczkę, że została matką. Jak szalony wracam do Wiednia. Pędzę do mieszkania ciotki. Przed domem gromada ludzi. Karawan zajechał. Czyjś pogrzeb. Ale co mi tam. Wchodzę na trzecie piętro. Święty Boże! Ciotka w trumnie, ją grzebać mają. Gdzie Rózia? pytam sąsiadów. Kiwają głowami, zbywają ni tem, ni owem. Wreszcie stróż domu powiada, że ciotka umarła nagle, ze zmartwienia, na udar serca. Umarła, bo nie mogła przeżyć hańby Rózi. A Rózia? Po śmierci ciotki zapadła w taki smutek, że do nikogo i słowa nie przemówiła, nie jadła, nie spała, a dziś rano wzięła dziecko, poszła z niem do miasta i do tej chwili nie wróciła. Straszne przeczucie mnie zadławiło. Uciekam jak szalony, pędzę na policyę, proszę, by mi szukano siostrzyczki, lilijki złamanej. Nie potrzebowali szukać, bo już ją znaleziono. Wydobyto ją z Dunaju martwą. Utopiła się, przywiązawszy sobie dziecko do piersi. I zobaczyłem moją siostrzyczkę, moje szczęście jedyne, moją Rózię, pieszczotę ojca i matki, zobaczyłem... w kostnicy. Z włosów jej ściekała woda, z ust sączyła się piana, a sina była, a z twarzyczki szła boleść straszna, mnie prosto w serce. Zdawało mi się, że to biedactwo wyrzuty mi czyni, dlaczego ją opuściłem. Opuściłem, aby zebrać posag dla niej i zebrałem, zebrałem na trumnę! Boże mój! Co ja przeżyłem w onej chwili!... Pochowałem Rózię, pochowałem szczęście moje. Ale poprzysiągłem zemstę uwodzicielowi. Taką powziąłem ku niemu zawziętość, że gotów byłem własne życie ważyć, byle go udusić, poszarpać, napluć na cielsko i sponiewierać je, jak padlinę. Łotr! pod obcem nazwiskiem wkręcił się do ciotki, ale znalazłem wreszcie takich, co go znali. Przez nich poznałem prawdę. Łudził Rózię, ona niewinna, niedoświadczona, uwierzyła mu ślepo, padła ofiarą naiwności. A łotr miał żonę, żenić się nie mógł, tylko złamał lilijkę z rozpusty, z podłej rozpusty. Dowiedziałem się, że prawdziwe jego nazwisko Sandtner. Uniesiony zawziętością, powziąłem podejrzenie, że to ten sam, u którego była moja narzeczona Zosia. Opowiedziałem Zosi, opowiedziałem wszystko. Zosia uwierzyła w to, że to ten sam, u którego służyła, bo dla żony swej był niedobry, bo żona była z nim nieszczęśliwa. Przywiązana do swej pani, nienawidziła Sandtnera za to, że ta dobra pani przez złego męża łzami się zalewa. Postanowiłem go zabić. Zosia wprowadziła mnie do niego tak, że nikt mnie nie widział. Wszedłem w czarnej masce, krzyknąłem: „Oddaj mi siostrę łotrze" — porwałem ciężki, bronzowy lichtarz i uderzyłem uwodziciela z całej siły w głowę. Zachwiał się, zaczął coś mówić o czarnej masce, uderzyłem go raz drugi, aż padł. Chciałem przetrząść biurko, aby poszukać listów Rózi, bo dowiedziałem się, że pisywała do niego. Usłyszałem kroki w przyległym pokoju, więc porwałem tylko duży pulares, z którego wyglądały koperty z listami i wyskoczyłem przez okno. Rzuciłem w parku maskę i pulares, wyjąwszy z niego papiery i uciekłem. Zosia tego samego dnia opuściła służbę, przeniosła się na Hechtengasse do wdowy Huberowej. W jakiś czas, gdym się uspokoił cokolwiek, poszedłem do Zosi z papierami. Zaczęliśmy je przeglądać, czytać. Boże! straszna rzecz! pokazało się, że to nie Robert Sandtner był uwodzicielem, ale młodszy brat jego Wilhelm, który przed miesiącem wypadł z tramwaju i na miejscu się zabił. Załamaliśmy ręce! Spaliłem w mieszkaniu Zosi papiery i wypadłem oszalały. Ona została sama i... gdym do niej wrócił, już nie żyła. Z rozpaczy się otruła... Straciłem ojca, matkę, siostrę jedyną, ukochaną narzeczoną, straciłem spokój duszy, zostałem mordercą, zamiast być mścicielem. Zawziętość mnie zaślepiła, odebrała rozwagę, cierpliwość i... bądźcie zdrowi, wybaczcie! Co zebrałem na posag Rózi, zabierzcie na fundusz dla okaleczałych rękodzielników i wspomnijcie niekiedy o tym, co kochał Boga, świat, rodzinę, ludzkość, a uniesiony zawziętością, został mordercą niewinnego. Strzeżcie się zawziętości! Może mi Bóg wybaczy, gdy stanę przed nim, niech mi na ziemi wybaczą ludzie!

Antoni Müller
malarz-dekorator".

Haller skończył. Nastało milczenie długie, smutne, jak widmo śmierci, snujące się po ścianach, otulające zwłoki nieszczęśliwego. Milczenie przerwał Lindner:

— Spełniłem, com przyrzekł, teraz mogę już odejść. Tak, tak, bez zawziętości!

Zwiesił głowę i odszedł. Zarządzono przeniesienie zwłok do zakładu medycyny sądowej. Na pogrzebie była garść przyjaciół samobójcy, byli też Haller, Maran i Lindner.

* * *

Eryk Gerlach, wypuszczony z więzienia, zabrał się do pracy, ustatkował. Pomogła mu Sandtnerowa do założenia handlu, na którym dorobił się majątku.

W rok potem powiódł Fryderyk Merk wdowę po Robercie Sandtnerze do ślubnego ołtarza, a tegoż samego dnia i Costa ożenił się z Ellą Gerlach.

Fredi, skazany na więzienie za kradzież z włamaniem, gdy karę odsiedział, zgłosił się do biura policyjnego po papiery. Komisarz Haller oddał mu je i rzekł:

— Obym cię już nigdy tu nie widział.

— Będę się o to starał, ale gdyby mi się jeszcze co wydarzyło niemiłego, ot tak przypadkiem, niechże pan komisarz nie posądzi mnie znowu o jakie morderstwo, bo ja nie mam natury zbójeckiej. Trzeba panie komisarzu z ludźmi postępować bez zawziętości.

KONIEC.



NADESŁANE.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

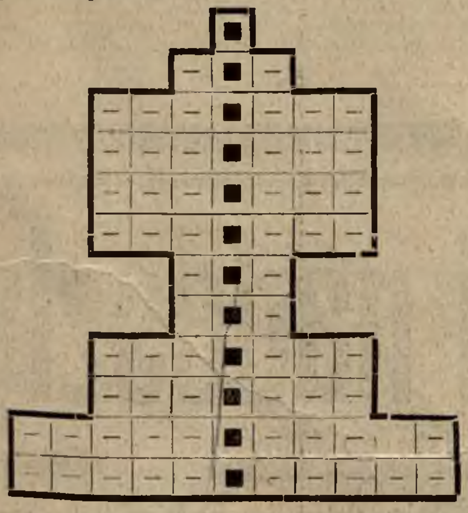
Ułożył Z. Gaudnik.

Pierwsza przyimek, a druga i trzecia
Stoi rzęsisto u każdego kmiecia.
Druga i pierwsza po górach się wspina,
Gdy krzew napotka, ząbkami nagina,
Nie w polskim języku znak przeczenia czwarta.
Całość górska miejscowość podziwienia warta,
Dokąd zdala spieszą czy latem czy zimą,
A dla nas najmilszą, bo swojską, rodziną.

Zagadka.

Ułożył Kazimierz Szpunar.

Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposób, by kwadraty czytane z góry na dół utworzyły imię i nazwisko polskiego powieściopisarza.



Znazenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Nazwisko polskiego poety, 3. Zwierzęta domowe, 4. Bogini zemstv, 5. Rozbójnik morski, 6 Inaczej duchowni, 7. Cesarz w Rosyi, 8. Imię żeńskie, 9. Góry w Galicyi, 10. Wyspy na morzu Północnem, 11. Dwa miasta w księstwie poznańskiem, 12. Miasto w Galicyi wschodniej.

Szarada.

Ułożył Z. Gaudnik.

Pierwsza i druga to gród z bitew sławny
A pierwsza trzecia kompozytor dawny,
Kto nie jest skąpy, trzecią się posłuży,
Całość pokrzepia, jeżli się kto znuży.

Logogryf

Ułożył A. Rotter ze Stanisławowa.

Litery uporządkować tak aby rząd środkowy czytany z góry na dół dał imię i nazwisko wirtuoza skrzypka i kompozytora polskiego.

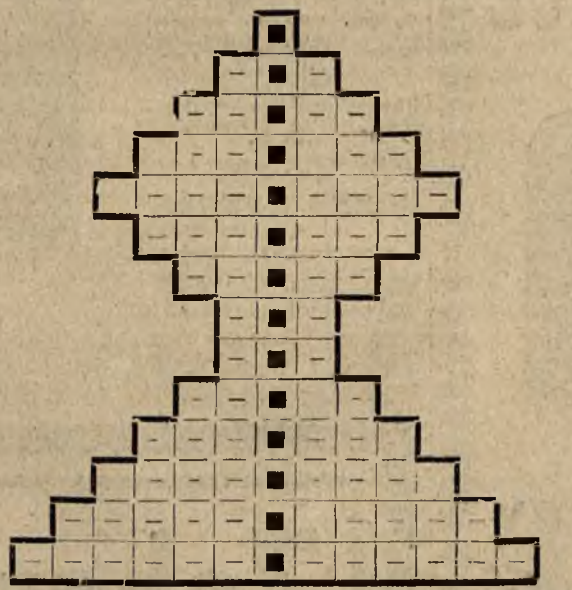


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Samogłoska, 3 i 4. Spółgłoski, 5. Samogłoska, 6 i 7. spółgłoski, 8. Zwierzę ssące, 9. Miasto we Włoszech, 10. Miasto i rzeka w Rosyi, 11. Ptak, 12. Miasto historyczne na Wołyniu, 13. Matka rodu ludzkiego, 14. Miasto we Włoszech. 15. Miejsce pielgrz. Mahometan. 16. Rzeka w Afryce.

Zagadka.

Ułożył Kazimierz Szpunar.

Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposób, by kwadraty czytane z góry na dół utworzyły imię i nazwisko polskiego powieściopisarza z pierwszej połowy XIX wieku.

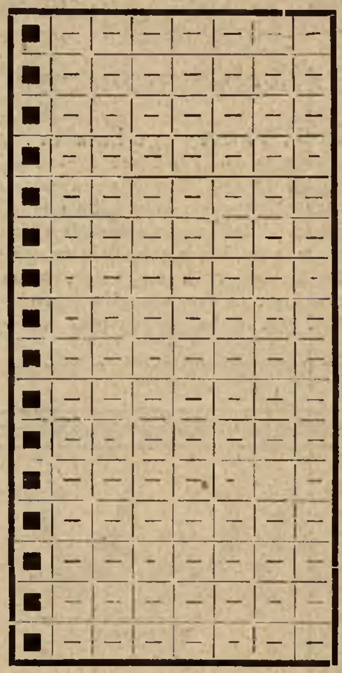


Znaczenie wyrazów: 1 Spółgłoska, 2. Największa rzeka w Niemczech, 3. Autor dzieła »Życie Chrystusa«, 4. Imię męskie, 5. Miasto w król. polskiem, 6 Miasto w Galicyi, 7. Dopływ Wisły, 8. Oznaka płaczu, 9. Krzew kwitnący obecnie 10. Pseudonim Maciejowskiego Ignacego, 11. Sztuczna podróż w około, 12. Miasto na Węgrzech, 13, Dwie wyspy na morzu Śródziemnym, 14. Miasto w Sennegalii.

Zagadka.

Ułożyła H. Leligdowicz z Fragi.

Początkowe litery wyrazów, czytane z góry na dół, dadzą często używane przysłowie łacińskie



Znaczenie wyrazów: 1. Góry w Azyi, 2. Szczyt w Alpach, 3. Inna nazwa Konstantynopola, 4. Przyrząd paciorkowy do modlenia się, 5. Inaczej ozdoba, 6. Obecnie popularny wieśniak w ks. Pozn., 7. Tyle co ubliżać, 8. Miasto w Bośni. 9. Mieszkaniec Afryki połudn., 10. Stan w Ameryce półn.. 11. Nazwa artystycznych wyrobów z glinki, 12. Dramaturg grecki, 13. Stowarzyszenie uczonych, 14. Reżyser operetki we Lwowie, 15. Miasto nad m. Azowskiem, w którym zmarł Aleksander I, 16 Nauka o budowie ciała.

Za trafne rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy utwór Mereżkowskiego: **Julian Apostata.**

Rozwiązanie zagadek z Nru 24.

Szarada.

Bukareszt.

Zagadka

Eliza Orzeszkowa.

Arytmogryf.

Syty głodnemu nie wierzy

Zagadka.

Sienkiewicz.

Logogryf.

Ignacy Paderewski.

Logogryf.

Gemma Bellincioni.

Zagadka.

Jubileusz cesarza.

Zagadka.

Kto rano wstaje temu Pan Bóg daje.
Nie wszystko złoto co się świeci.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: S. Eckhardto Stanisławów, O. Górkowa Chyrów, J. Dychl Stryj, R. Czaplicki Kraków, E. Wieczorkowa Kraków, K. Fuchs Czeremchów, M. Grodzicka Dębniki, R. Jaworski Kraków, W. Masiuk Dębniki, J. Januszewski Podgórze, A. Nikosiewiczowa Krzywe, M. Stachowicz Kraków, Z. Gaudnik Stary Sącz, M. Lisowska Papiernia, I. Wielgus Wadowice, L. Złochowski Zaleszczyki, J. Nikorowicz Sokal, K. Szymborski Warszawa, J. Grotkowski Kraków, A. Jerin Częstochowa, S. Kubacki Piotrków, A. A. Bocsoń Bóbrka, Kwapiński Równe, F. Majewska Kraków, B. Leszczyński Borysław, A. Rotter Stanisławów, J. Możdżeński Wiedeń H. Kijeńska Łódź, F. Bogdalska Koropuż, M. Arbesbauer Lwow, A. Woyde Warszawa, A. Rojek Lwów, Z. Wojtkowska Tarnopol, J. Dobrzelewska Warszawa, F. Karczewski Kraków, M. Różański Libusza, J. Gomulińska Bóbrka, J. Gawrońska Kamionka Strumiłowa, F. Kopystyńska Lwów, O. Tłuchowski Warszawa, E. Zażulińska Olszanica, S. Seitel Budzanów, Z. Ciechanowska Stary Sambor, W. Laskowski Warszawa, F. Niepokój Krosno, H. Pawłowska Bóbrka.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. J. Grotkowski Kraków. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Głosy publiczne.

Aptekarza A. Thierry'ego balsam i maść centyfoliowa Szczególnie w gorącej porze letniej, w podróży i na wycieczkach oddają te dwa sławne, niezawodne środki we wszystkich wypadkach nieocenione usługi. Są one prawdziwie zbawienne w potrzebie w tak często zdarzających się wypadkach osłabienia z gorąca, zemdleń, szczególnie w czasie zbioru owoców i ogórków zdarzających się kolek, kurczów, przeszkód w trawieniu, zaziębień, niedysnozycyi z powodu złej wody do picia i t. d. Maść jest niezastąpioną przy wszystkich skaleczeniach, guzach, nabrzmiałościach, ranach, zadarciach, sińcach i t. d. to też oba te środki powinno się mieć zawsze ze sobą w dostatecznej ilości. Proszę nie zakupywać innych bezwartościowych fluidów, a adresować wszelkie listy i zamówienia: Apotheker A. Thierry in Pregrada bei Rohitsch.

Od Administracyi.

Przypominamy Szanownym P. T. Prenumeratorom naszym, że przy każdorazowej zmianie adresu należy nadesłać jednocześnie z nowym adresem 40 hal. na koszta zmiany.

Przypominamy to ze względu na zbliżający się czas wyjazdów do letnisk i miejsc kuracyjnych.

MAGAZYN HENRYKA SCHWARZA

TELEFON 43 KRAKÓW, ULICA GRODZKA L. 13 TELEFON 43

WEŁNY, JEDWABIE, OKRYCIA, ŻAKIETY, KOSTYUMY, BLUZKI, HALKI
RĘKAWICZKI FRANCUSKIE I ANGIELSKIE · KAPELUSZE »PANAMA«

Kraków Sławkowska L. 3 Telefon 516



Kraków Hotel Saski Telefon 516

ZDZISŁAW ZDANOWICZ



Magazyn galanteryjny

Skład Bielizny, Kapeluszy, Obuwia amerykańskiego i przyborów do podróży.



Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

WIETRZNA HARMONIJKA

Nowość! Wspaniała muzyka



Instrument ten umieszcza się na altanach, żerdziach, drzewach, domach mieszkalnych, a przy najlżejszym nawet wietrze wydaje tenże nadzwyczaj miłe i przyjemne tony.
Wietrzna harmonijka jest 28 cm. długa i kosztuje za sztukę tylko **Kor. 3.**
Wysyłka za zaliczką przez c. i k. nadwornego dostawcę
HANNS KONRAD
Dom wysyłkowy 21—28
w Brüx Nr. 1371 (Czechy).
Proszę żądać bogato ilustrowanego głównego cennika z przeszło 3000 illustracyj darmo i opłatnie.

Cenniki illustr. na żądanie darmo i opłatnie
Największy WYBÓR LALEK na Galicyę!



Fabryka Lalek, KRAKÓW, ul. Wolska 1/a

Specyalność: Lalki z prawdziwemi włosami, blaszanemi głowami (skórzane) i w krakowskich strojach. — Buciki, pończoszki, kapelusiki, parasolki, zegarki, mebelki WÓZKI itp. na składzie.

Zabawki nadeszły

na wiosnę i lato do firmy

Stefan Porębski

Kraków, obecnie **Rynek główny Nr. 32, Linia C-D.**

GRANICA Stacya kolei W.-W. Ruble, austryackie korony, franki, marki itp. sprzedaje i kupuje najkorzystniej dla pasażerów Specyalny Kantor wymiany wszelkich monet WŁADYSŁAWA HERTZA na stacyi »GRANICA«. Pociągi tak przychodzące jak i odchodzące zatrzymują się przeszło godzinę. Kantor znajduje się w westybulu dworca naprzeciw kas biletowych stacyi »GRANICA«.

Zmiana lokalu!

20—20

Magazyn Bielizny i konfekcyi męskiej Braci Bilewskich w Krakowie przeniesiony został do pierwotnego lokalu **obok kościoła NP. Maryi**